

AFRYKAŃSKIE PRZEKLEŃSTWO

1. Jak to się zaczęło

Obudziłem się w jakimś ciemnym i zimnym pomieszczeniu. Było tak bardzo ciemno, że dopiero po dłuższej chwili, kiedy oczy przywykły do panującego tam mroku, zacząłem rozpoznawać najbliższe otoczenie. Leżałem w kącie jakiejś niewielkiej piwniczki, co poznałem po niskim, ceglanym sklepieniu bez tynków, a wokół mnie leżały suche liście. Pod sklepieniem zauważyłem małe okienko. Na zewnątrz było ciemno. Pomału wracała świadomość i ból w nodze poniżej kolana. No tak, spadając ze starej, spróchniałej drabiny musiałem nie tylko uderzyć głową o posadzkę, ale też nogą zawadzić o krawędź wielkiej skrzyni stojącej obok na posadzce.

Powoli przypominałem sobie jak tam trafiłem. To była wyłącznie moja wina, sam byłem sobie winien. Nie chcąc być widzianym, dopiero wieczorem wszedłem w te ruiny, mając tylko porządną latarkę. Dopiero po dłuższym czasie odkryłem kamienną płytę znajdującą się tuż za ścianą opuszczonego i zrujnowanego kościoła ewangelickiego, pod warstwą naniesionej tam ziemi i nawianych liści. Z trudem, pomagając sobie metalowym słupkiem pozostałym po zniszczonym ogrodzeniu, odsunąłem w końcu tę płytę na tyle, że w świetle latarki mogłem zobaczyć jakąś ciemną piwnicę. W otworze zobaczyłem drabinę, która stała przy ścianie. Wsunąłem latarkę za pasek, wsunąłem nogi do otworu i zacząłem schodzić po tej starej, spróchniałej drabinie. To musiało skończyć się upadkiem. Usiadłem wygodniej na chłodnej ceglanej posadzce i rozejrzałem się wokół.

W kącie tej niewielkiej, ale wysokiej, łukowo sklepionej krypty o powierzchni około dwa i pół na trzy metry, częściowo już zagruzowanej, stała duża drewniana skrzynia, bez pokrywy, wypełniona piaskiem. Takie skrzynie z piaskiem zimą przydawały się do zapewnienia bezpiecznego przejścia po oblodzonych ścieżkach. Ale po co piasek w piwnicy starego kościoła ewangelickiego? Zacząłem nerwowo rozgrzebywać piasek rękoma i wyrzucać go na ceglaną posadzkę. Zbutwiałe drewno z boków skrzyni odpadało całymi płatami.

To musiało być tutaj, przecież wszystko się zgadzało, nareszcie dotarłem do celu. Kiedy po opróżnieniu skrzyni na jedną trzecią jej wysokości poczułem w palcach pomiędzy piaskiem jakąś zbutwiałą tkaninę a pod nią jakąś metalową powierzchnię, byłem już pewien.

To musiało być to. Znalazłem to czego szukałem.

Jak to się zaczęło? Cała historia wzięła swój początek od wizyty u przyjaciół, którzy zamieszkali w starej, wyremontowanej chałupie w Starych Bogaczowicach. Mój przyjaciel Maciek, który wykonywał różne mniejsze i większe prace budowlane, remontował dom pewnej samotnej staruszce, mieszkającej na uboczu tej wsi, w pobliżu starej, siedemnastowiecznej kaplicy świętej Anny. Podczas wykonywania tych prac remontowych bardzo zżył się z babcią, która nie miała już nikogo z bliskich na tym świecie. Mąż jej zmarł, dzieci nie mieli. Babcia Aniela nie miała już siły aby pracować w ogrodzie i w sadzie, chciała tylko spokojnie dożyć swych dni w domu, gdzie była tak szczęśliwa ze swoim Bronisławem. Dlatego nie chciała nawet zbyt wiele naprawiać w starym domu. Maciek zaproponował jej, że poza niezbędnymi naprawami wytartych i spróchniałych podłóg i schodów, przede wszystkim porządnie wyremontuje pokrycie dachu, aby dom nie niszczał od zacieków. Polubili się, babcia przygotowywała mu kawę, częstowała nieco już zawilgoconymi ciasteczkami i gawędziła z nim podczas przerw w pracy. Za te dodatkowe roboty Maciek nie chciał dodatkowej zapłaty. Doszło do tego, że babcia czekała na jego przyjście i na ich wesołe pogawędki. Maćkowi bardzo spodobała się okolica domu i kiedyś, pół żartem, pół serio, poprosił babcię Anielę aby zapisała mu ten dom,

oczywiście za odpowiednią zapłatę i z jego solennym zapewnieniem, że staruszka spokojnie pożyje sobie w nim aż do śmierci. Babcia z ochotą przystała na jego propozycję i zgodziła się na przeprowadzenie wszelkich, niezbędnych, urzędowych formalności. Zrzekła się na korzyść Maćka domu i części działki, na której stał dom. Sam dom był prawdę powiedziawszy starą budą i wymagał olbrzymich prac naprawczych, ale Maćka przede wszystkim urzekło położenie domu. Dom stał na skraju wsi, na zboczu wzgórza, nazywanego Wzgórzem świętej Anny (Annaberg), przy polnej drodze prowadzącej do przysiółka Wrony. Ze wzgórza widać było położoną w dolinie całą, długą, bogatą wieś, z dwoma kościołami, główną drogą i rzeką Strzegomką, która w Starych Bogaczowicach jest jeszcze potokiem wijącym się wzdłuż tej drogi. Wokół domu na wzgórzu rozciągał się niewielki, zapuszczony sad a nieco poniżej, ale także na działce należącej do domu, znajdowała się studnia z krystalicznie czystą wodą. W bliskim sąsiedztwie domu stara aleja lipowa prowadziła do pięknej, zabytkowej kaplicy świętej Anny z 1736 roku, przy której stał stary, kamienny posąg świętej Anny z dzieckiem na ręku, stojącej na półksiężycu.

W ten sposób, po kilku latach Maciek stał się właścicielem starej chałupy chylącej się już ku ruinie. Ale trzeba znać Maćka. Mając po ojcu w żyłach sporo góralskiej krwi, nie przeraził się marnym stanem domu, choć wielu znajomych pukało się w głowę i pytało po co mu taki kłopot. Dla niego najważniejszym było, że miał wreszcie swój wymarzony, własny dom.

I miał wizję; wiedział doskonale jak w przyszłości ten dom ma wyglądać. Zabrał się więc ostro do roboty. A było tam co robić. Była to typowa wiejska chałupa. Niewielki drewniany ganek prowadził do sieni biegnącej przez całą szerokość domu. Po prawej stronie sieni była część mieszkalna: kuchnia i dwa pokoiki, a po lewej część gospodarcza: stodoła z dużymi wrotami i stajnia. Rozklekotane, skrzypiące, drewniane schody prowadziły z sieni na zagracone poddasze, gdzie dawniej były jeszcze dwa dość duże pokoje. Kłapa w stropie pozwalała dostać się na niewielki, nieużytkowy stryszek. Rozpocząć trzeba było od wyczyszczenia wnętrza. Czego tam nie było; jednak większość nagromadzonych przez lata gratów nadawała się tylko do wyrzucenia, reszta posłużyła jako sprzęty pomocnicze przy rozpoczętej przebudowie. Na pamiątkę zostało między innymi kamienne koryto-poidło dla koni.

Podczas rozbierania drewnianej obudowy dachu na poddaszu i starych, mocno spróchniałych desek podłogi i podsufitki, w polepie z sieczką ułożonej na ślepym pułapie Maciek trafił na dziwne blaszane pudełko, nieco mniejsze niż dawne kartonowe tornistry szkolne. Czas zatarł wszelkie napisy na ściankach i na wieczku pudełka. Babcia Aniela o niczym takim nie wspominała. Zaintrygowany z trudem je otworzył, z wierzchu było już lekko zardzewiałe. Okazało się, że schowano w nim dokumenty dotyczące domu i jego dawnych, jeszcze przedwojennych właścicieli. Stało się jasnym, że babcia Aniela, która trafiła do Starych Bogaczowic po wojnie, nie mogła nic o tym wiedzieć. Czego tam nie było? Stare zeszyty szkolne dzieci, pokwitowania za sprzedane i odstawione plony, rachunki za narzędzia i sprzęty, kilka starych zdjęć, książeczki oszczędnościowe, kartki pocztowe od członków rodziny z bliższych i dalszych podróży, wycinki z jakichś starych gazet. Były też akty urodzin i ślubów opatrzone pieczęciami lakowymi oraz inne papiery urzędowe z odcisniętymi stemplami. Wszystko starannie poskładane.

Kiedyś, podczas jednej z naszych wizyt w Starych Bogaczowicach, Maciek powiedział mi o swoim odkryciu. Zaczęliśmy je szczegółowo przeglądać. Sporo czasu zajęło nam porządkowanie tych materiałów. Spróbowaliśmy ułożyć je chronologicznie i stworzyć z nich jakąś sensowną całość.

Powoli, powoli wyłaniała się z tych dokumentów i innych szpargałów, które jakimś cudem pozostały jeszcze w domu, niesłychanie ciekawa historia rodzinna.

2. Zawartość tajemniczych dokumentów i poruszenie wyobraźni

Najstarszym zachowanym dokumentem, pochodzącym z 1862 roku, był akt chrztu niejakiej Karoliny Mohaupt, ochrzczonej 9 kwietnia w Grüssau (tak wcześniej nazywał się Krzeszów oraz tamtejszy klasztor). Dokument wystawiony został 11 kwietnia 1862 roku w Hermsdorf, czyli najprawdopodobniej w dzisiejszym Sobiecinie, dzielnicy Wałbrzycha.

Piękny dokument wypisany został ręcznie na ozdobnym papierze czerpanym. Po obu stronach tekstu widoczny był ornament roślinny, nad nim oko opatrności bożej (oko w trójkącie otoczonym promieniami, jako symbol oka Boga pilnującego ludzi) a dołem rysunek przedstawiający chrzest Jezusa w potoku.

Dokument został złożony i zapieczętowany nieczytelną już pieczęcią lakową w taki sposób, że na jego froncie (jak gdyby na przedniej stronie) także widoczny był podobny rysunek.

W centrum rysunku znajdowała się scena chrztu. Z jednego boku tej sceny pokazano Mojżesza z tablicami zawierającymi 10 przykazań a po drugiej stronie zamieszczono wizerunek Matki Boskiej siedzącej pod krzyżem i trzymającej kotwicę opartą o ziemię.

Wnioskowaliśmy, że Karolina była córką gorliwych chrześcijan, którzy zbudowali ten dom położony w sąsiedztwie kaplicy świętej Anny, stojącej na wzgórzu w Alt-Reichenau (w Starych Bogaczowicach), powiat Bolkenhain (Bolków).

Potem szperając w innych znalezionych tam dokumentach dowiedzieliśmy się, że około 1883 roku Karolina wyszła za mąż, za syna jednego z sąsiadów o nazwisku Kadenbach. Młodzi małżonkowie, podobnie jak rodzice również byli rolnikami. Kadenbachowie mieli trochę ziemi w sąsiedztwie domu, którą obsiewali pszenicą i owsem, do tego mieli pole z ziemniakami, ogród, dwa konie, krowę i trochę maszyn pomagających im w pracy. Małżeństwo doczekało się dzieci: córki Anny i syna, któremu na chrzcie dano na imię Anton.

Z zachowanych zapisków można było wywnioskować, że starsza siostra Anna rosła jak na drożdżach i wyrosła na prawdziwą, wiejską gospodynię. Można było się też domyślić, że jej brat, Anton, był typowym wiejskim chłopakiem, który nie przykładął się zbyt do prac gospodarczych. Owszem, pomagał kiedy musiał, ale wołał wraz z innymi chłopakami, zaraz po szkole zmykać z domu i rozrabiać, psocąc ile się da po całej okolicy. Chłopcy penetrowali całą, rozległą okolicę. Między innymi wpadli na pomysł aby zbadać bieg Strzegomki płynącej przez wieś wzdłuż głównej drogi. Za młodu dotarli tylko do miejsca gdzie do tej rzeki wpada potok Czyżynka.

Wędrując w górę tego potoku docierali do ruin średniowiecznego zamku Cisy (Zeisburg) i buszowali po tych zamkowych ruinach. Czyżynka opływała tam łagodnie wzgórze zamkowe i bardzo przyjemnie było latem wylegiwać się na łące nad jej brzegiem.

Trochę później, po upływie kolejnych lat, spotykając się na niedzielnych nabożeństwach, wiejska kawalerka umawiała się na wypad do okolicznych wiosek, na zabawy organizowane w Chwaliszowie (Quolsdorf), Gostkowie (Gießmannsdorf) lub w Witkowie Śląskim (Wittgendorf). Gostków należał do dekanatu bolkowskiego, gdzie przeważali protestanci. Woleli zabawy w Witkowie, gdzie podobnie jak w Starych Bogaczowicach, z uwagi na wpływ pobliskiego klasztoru krzeszowskiego, przeważali katolicy. Do Witkowa, skracając sobie drogę, często wędrowali lasem, starym szlakiem mijając po drodze pomnik z rzeźbą Matki Boskiej siedzącej wraz z dzieciątkiem na tronie, na wysokim postumencie. Ten pomnik, wzniesiony w XVIII wieku pośrodku lasu, przedstawia Maryję z koroną na głowie, strzegącą bezpieczeństwa podróżnych na tej leśnej drodze. Tam spotykali się również wtedy, gdy wybierali się na szczyt Trójarbu.

W domu z powodu zachowania Antona często dochodziło do jego ostrych utarczek z ojcem, który chciał, aby syn więcej czasu poświęcał gospodarce i pomagał mu w pracy.

Matka jak mogła łagodziła ich starcia. Anton wzruszał ramionami i odpowiadał, że jeszcze przyjdzie czas aby się ustatkować.

W 1902 roku Anton trafił do wojska. Ojciec nawet się ucieszył gdyż miał nadzieję, że nauczają go tam obowiązkowości i poszanowania pracy. Pruskie prawo stanowiło, że wszyscy wstępujący w pełnoletniość mężczyźni musieli obowiązkowo odbyć trzyletnią służbę wojskową. Po jej zakończeniu, do trzydziestego roku życia mężczyźni przechodzili do rezerwy – tak zwanej Landwehry pierwszego rzutu i podlegali obowiązkowi dwuletniego dodatkowego szkolenia. Anton służył w piechocie, w kontyngencie pruskim. Bardzo się starał. Zaczynał jako gefreiter ale po dwóch latach służby awansował na kaprała (unteroffizier/Korporal) z widokami na stopień wicefeldfebla (vizefeldwebel). Służbę odbywał w Breslau, czyli we Wrocławiu. W czasie jednej z wizytacji jego jednostki, wskazano go, jako jednego z najsławniejszych żołnierzy. Rodzice byli z niego niesłychanie dumni. Na przepustkach imponował też oczywiście swoim wiejskim kolegom i dziewczętom z całej okolicy.

Po miesiącu zaproponowano Antonowi przejście do Imperialnych Sił Ochronnych odpowiadających za obronę niemieckich kolonii.

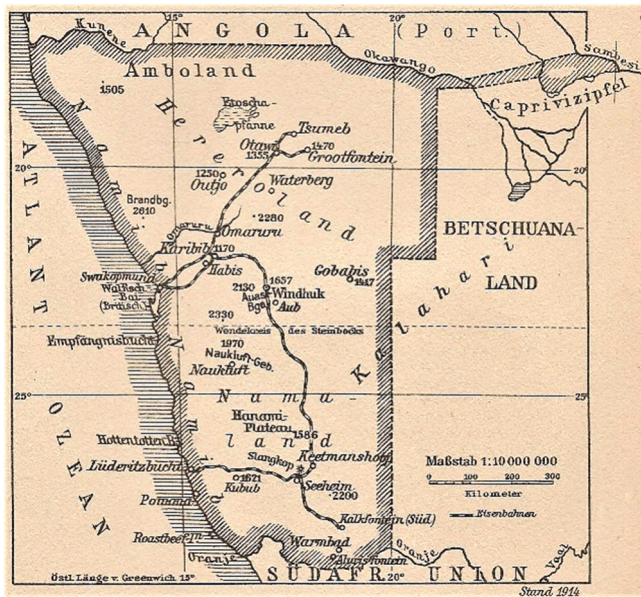
W tamtych czasach europejskie mocarstwa kolonialne, w szczególności Wielka Brytania i Francja, podzieliły już pomiędzy siebie większość podbitych terenów w Afryce i Azji.

Niemcy były nieco opóźnione w tym imperialistycznym wyścigu, ale starały się do nich dołączyć. Na przełomie XIX i XX wieku Niemcy mieli kolonialne posiadłości nie tylko w Afryce (Togo, Kamerun, Niemiecka Afryka Wschodnia i Niemiecka Afryka Południowo-Zachodnia), ale także w Chinach i w Oceanii.

Chłopakowi ze wsi bardzo to zaimponowało, czuł się naprawdę wyróżnionym. Rodzicom podobало się to znacznie mniej bo do prac w polu trzeba było najmować parobków. Matka się zamartwiała, bała się o swe dziecko, które może być wysłane gdzieś na koniec świata. Anton się cieszył : pozna daleki świat a i mundury tych kolonialnych wojsk były bardzo oryginalne, szczególnie ich charakterystyczne kapelusze.

3. Afryka

Antona przydzielono do wojsk, które miały udać się do Niemieckiej Afryki Południowo-Zachodniej (Deutsch - Sudwest Afrika), czyli do dzisiejszej Namibii. Wysyłane wojska, nazywane Keiserliche Schutztruppe, miały chronić niemieckich kolonistów osiedlających się na tym terenie. Niemiecka kolonia powstała tam w 1884 roku. Zaczęło się od tego, że niemiecki kupiec Adolf Lüderitz kupił od miejscowego wodza plemiennego ziemię w okolicach Angra Pequena. W 1884 roku kupiec ten przekazał cały nadbrzeżny obszar, rozciągający się od rzeki Okavango na północy aż po rzekę Oranje na południu, pod opiekę władz niemieckich. Ta niemiecka ekspansja kolonialna natrafiła jednak na silny opór ze strony członków plemienia Herero, żyjących na tym terenie. W styczniu 1904 roku zbuntowali się przeciwko wła-



dzom niemieckim i pod wodzą Samuela Maharera zaatakowali osiedla niemieckich kolonistów, zabijając ponad 100 osób, w tym kobiety.

W pierwszych tygodniach powstania przewaga Hererów była wyraźna. Zagrozili oni nawet stolicy Niemieckiej Afryki Południowo-Zachodniej – miastu Windhuk. Wtedy, w sierpniu 1904 roku, wysłał na wybrzeżu przysłany z Europy 15-tysięczny niemiecki korpus ekspedycyjny, na którego czele stanął generał Lothar von Trotha.

W tym korpusie znalazł się także nasz młody Anton Kadenbach z Alt-Reichenau.

Polityka generała von Trotha polegała na stosowaniu bezwzględnej siły i skrajnego, okrutnego terroru. W decydującej bitwie Niemcy pokonali rebeliantów. Trotha rozmyślnie pozwolił wojownikom Herero wymknąć się z okrażenia wraz z towarzyszącymi im rodzinami, po czym wyparł ich na skraj pustyni Kalahari, zagrażając równocześnie rebeliantom dostęp do źródeł wody. Niemieckie patrole strzegły źródeł wody, strzelając do zbliżających się tubylców. Po wypchnięciu powstańców na pustynię odczytano im proklamację, w której ogłoszono, że utracili oni status poddanych niemieckiego cesarza i muszą opuścić tereny Niemieckiej Afryki Południowo-Zachodniej. Zagrożono jednocześnie, że każdy Herero, który pozostanie na terytorium kolonii zostanie zabity – bez względu na wiek czy płeć.

Von Trotha nie ukrywał, że jego celem jest całkowita eksterminacja zbuntowanego ludu. Przez dwa miesiące Hererowie wegetowali na pustyni Omaheke, będącej częścią pustyni Kalahari. Niemieckie wojsko nie dopuszczało ich do źródeł wody zabijając każdego, kto usiłował się do nich zbliżyć. W efekcie tysiące Herero zginęło na skutek głodu i pragnienia. Jedynie pod wpływem protestów niemieckiej i międzynarodowej opinii publicznej cesarz Wilhelm II oficjalnie nakazał przerwać akcję pacyfikacyjną, ale na miejscu, w Afryce, von Trotha kontynuował politykę represji.

Pozostali przy życiu członkowie plemienia Herero zostali umieszczeni w obozach pracy, gdzie oznakowano ich literami GH (Gefangene Herero). Byli zmuszani do katorżniczej pracy przy budowie linii kolejowej z Zatoki Lüderitza do Keetmanshoop, a niemieccy koloniści dokonywali na nich licznych mordów i gwałtów. Niezdolnych do pracy zakłuwano bagnietami, aby zaoszczędzić amunicję. Dużą część jeńców, którzy nie mogli pracować, została umieszczona na Shark Island w pobliżu miasta Lüderitz, gdzie znajdował się jeden z pierwszych na świecie obozów śmierci. W obozie tym zmarło około 3500 Afrykanów. Doprowadzono do

wyniszczenia Hererów, ich liczba zmniejszyła się w tym okresie z 80 tysięcy do około 15 tysięcy „wygłodzonych uchodźców”. Pod koniec 1905 roku powstanie wzniciło także plemię Nama, które spotkał podobny los.

W Namibii niemieccy lekarze prowadzili na ocalałych z pogromu Herero rasowe badania medyczne. Niemieccy naukowcy badali głowy obcięte jeńcom z plemienia Herero i Nama, które służyły im jako pomoce w pseudonaukowych opracowaniach dotyczących teorii ras.

Dokładna liczba ofiar tego konfliktu nie jest znana; według szacunków zginęło od 24 do ponad 100 tysięcy Herero oraz 10 tysięcy Nama. Pozostali przy życiu zostali całkowicie wywłaszczeni, poddani nadzorowi policyjnemu i zmuszeni do przymusowej pracy na farmach należących do białych kolonistów. Jedną czwartą ocalałych wysiedlono do innych regionów Niemieckiej Afryki Południowo-Zachodniej lub do innych niemieckich posiadłości kolonialnych w Afryce: Togo, Kamerunu czy Niemieckiej Afryki Wschodniej, obejmującej obszar rozciągający pomiędzy jeziorami Wiktorii, Tanganika i Niasa i sięgający na wschód aż do wybrzeży Oceanu Indyjskiego w rejonie Dar es Salaam.



Po zdławieniu w 1904 roku powstania ludu Herero (Hotentotów) napłynęły nowe fale osadników z Niemiec. W 1908 roku odkryto tu złoża diamentów, co zwiększyło napływ ludności europejskiej. Do 1914 roku mieszkało tam już prawie 13 tysięcy Niemców.

Ale przegrana wojna sprawiła, że w 1915 roku tereny te zajęły wojska południowoafrykańskie, walczące u boku Brytyjczyków. Po wojnie Brytyjczycy przekazali

kolonię Republice Południowej Afryki jako terytorium mandatowe Ligi Narodów.

Antona Kadenbacha już tam dawno nie było. Służba wojskowa w Cesarstwie Niemieckim nie była łatwa. Panował znany „pruski dryl” i bezwzględne posłuszeństwo wobec przełożonych. Do tej pory Anton Kadenbach nawet nie myślał o jakichkolwiek protestach. Rozkaz to rozkaz, wróg to wróg. Ale w Afryce spotkał się z czymś zupełnie innym. Musiał brać udział w pacyfikacjach, wypędzaniu ludzi z ich domostw, strzelaniu do uciekających, choć wewnątrz wszystko się w nim burzyło. Nie potrafił wmówić sobie, że to nie ludzie, że to dzikie zwierzęta, które są tylko podobne do istot ludzkich.

Zmuszany do brania udziału w walkach z Herero napatrzył się na tyle okrucieństw, że stał się innym człowiekiem, zmienił się nie do poznania. Z prostego, pogodnego, wiejskiego chłopaka zmienił się w milczącego, patrzącego spode łba, opryskliwego i nieprzystępnego człowieka. Nie miał tam przyjaciół, byli tylko przełożeni i podwładni. Zamknął się w sobie, działał jak automat, tylko dzięki temu mógł wytrzymać te okropności, w których musiał brać udział. Nie utracił jeszcze wszystkich ludzkich odruchów, ale niewiele mógł zrobić.

W czasie jednej z karnych ekspedycji, kiedy dowodził kilkusobowym oddziałem, wódz niewielkiej wioski, która miała zostać doszczętnie zniszczona, w zamian za darowanie życia i pozwolenie bezpiecznego opuszczenia wioski przez garstkę jej mieszkańców, wcisnął mu do ręki niewielki płócienny woreczek. Schował go do tornistra nawet nie zaglądając do środka. Nakazał wystraszonej grupie mężczyzn, kobiet i dzieci wynosić się z wioski, a swoim ludziom polecił spalić ich nędzne chaty. Odeszli z opuszczonymi głowami, gnając przed sobą kilka sztuk bydła, patrząc spode łba jak płoną ich domy. Zanim zniknęli za kępami suchych, kolczastych zarośli zobaczył, jak wódz wioski, ten który wcisnął mu do rąk płócienny woreczek, odwrócił się jeszcze i założył ręce na głowę. Coś krzyczał po swojemu ale już go nie było słychać, zresztą Anton nie nauczył się ich mowy.

Dopiero późną nocą, gdy upewnił się, że nikt ze śpiących kolegów nie patrzy w jego stronę, zajrzał do tego niepozornego, szarego woreczka. Były tam trzy nieforemne kamyki wielkości małych, ptasich jajek. Kamienie były szare, tylko powierzchnie odłupane ze skał z których pochodziły, były gładkie, przeźroczyste i w świetle świecy stojącej na parapecie koszarowego okna świeciły dziwnym blaskiem. Wiedział, że były to diamenty, za którymi uganiali się tam liczni przedsiębiorcy i kupcy, wiedział że są cenne, nie miał jednak pojęcia o ich prawdziwej wartości. Bał się o nich wspominać kolegom, a już na pewno za nic nie powiedziałby o nich swoim przełożonym, schował więc woreczek na dnie szafki, pomiędzy swymi prywatnymi rzeczami.

Coraz trudniej znosił obowiązki służbowe, coraz częściej myślał o powrocie do domu. O rodzicach, szczególnie o matce, o siostrze i o dziewczynie, z którą przed wyjazdem spotykał się podczas przepustek we wsi. Na co dzień bywał szorstki, roztargniony i jakby nieobecny. Do tego jeszcze przestał zachowywać należytą ostrożność.

Pewnego razu z grupy tubylców eskortowanych przez jego oddział wyrwał się nieuzbrojony, ale zdesperowany wojownik z plemienia Nama i rzucił się na niego z gołymi rękoma, próbując go udusić. Zaskoczony Anton przewrócił się, upadł na ziemię a wtedy tamten sięgnął po jego karabin. Anton zdążył tylko chwycić bagniet za ostrze próbując uniknąć pchnięcia. Udało mu się usunąć na bok; ostrze przesunęło się tylko po żebrach, rozdzierając mu duży płat skóry. Odepchnął napastnika nogami i zdążył jeszcze tylko poranionymi rękami obrócić karabin. Nama, który ponownie rzucił się na leżącego, nadział się na skierowany do góry bagniet i upadając przygniótł Antona swym ciałem. Spod tego martwego ciała wyciągnęli go podwładni.

Anton trafił do szpitala polowego w Keetmanshoop. Tęsknił za domem. Nocami w szpitalu męczyły go koszmary. Wciąż widział twarz tego Nama z wytrzeszczonymi oczami i wściekłym wyrazem twarzy. W końcu, po 3 tygodniach, otrzymał zwolnienie i zgodę na powrót do Niemiec, dla dalszej rehabilitacji. Wraz z jego marnym dobytkiem, mieszczącym się w tornistrze, wojskowym worku i tekturowej walizce, po wypłaceniu żołdu i należnej odprawy, odwieziono go przy najbliższej okazji do portu w Lüderitz, skąd odpłynął parowcem do Lubeki. Po dalszych 3 tygodniach dotarł do domu w Alt Reichenau, który opuścił przed 5 laty.

4. Trudny powrót i nowa nadzieja

Mógł wreszcie odpocząć, wrócił do domu, za którym tak tęsknił. Ale to już nie był ten sam dom. Ojciec zmarł, Anton wiedział o jego chorobie z listów, ale nie mógł przecież przyjechać na pogrzeb, zresztą nie zdążyłby na czas. Dziewczyna, o której tyle myślał tam w Afryce, wyjechała z Bogaczowic do Landeshut (do Kamiennej Góry). Tam pracowała w dużych zakładach tekstylnych i podobno wyszła za mąż. Matka, już siwiutka, choć przecież jeszcze nie tak stara, zajęła się nim z wielką troskliwością i dogadzała mu jak tylko mogła. Mimo wszystko czuł się tam już jakoś nieswojo. Matka popadała w dewocję, codziennie przesiadywała w kościele. Albo schodziła na dół wsi do kościoła świętego Józefa, albo przynajmniej dreptała do stojącej niedaleko kaplicy świętej Anny. W domu często siadywała na zydłu w kącie kuchni i mruzczała zdrowaśki przebijając palcami po paciorkach różańca.

W czasie jego nieobecności siostra Anna wyszła za mąż i tak naprawdę to ona i jej mąż Paul, który wzenił się w tę rodzinę, zarządzali teraz całym gospodarstwem.

Ze szwagrem jakoś nie przypadli sobie do gustu. Anton niechętnie opowiadał o swoich afrykańskich przeżyciach, wojska miał już po dziurki od nosa, a tamten, zagorzały zwolennik pruskiego militarysty i samego cesarza Wilhelma II, wciąż go nagabywał, ciągnął za język, chcąc sycić się zwycięstwami niemieckiej armii i chwalić się szwagrem przed sąsiadami. Anton szybko zorientował się, że nie może z nimi rozmawiać szczerze, nie wierzyli w to, co próbował im opowiedzieć o okropnościach wojny. Uważali, że przesadza i nie wiadomo dlaczego, jak jakiś malkontent, przedstawia wszystko w ciemnych barwach. Szwagier Paul wierzył w niemiecką wyższość i przyrodzony talent narodu niemieckiego do organizacji, porządku i należącego mu światowego przywództwa. Do tego Anton, z racji swego marnego stanu fizycznego nie mógł mu wydatnie pomagać w gospodarstwie. Praca na roli, nawet z pomocą koni i podstawowych maszyn, jest ciężka a on zbyt szybko się męczył. Rana niezbyt starannie zszyta w lazarecie pozostawiła mu wielką bliznę ciągnącą się przez cały bok. Prawdopodobnie dwa żebra również były wtedy złamane lub pęknięte, ale ponieważ nie stwierdzono przesunięć kości, lekarz w lazarecie nie przejął się tym zbytnio. Musiały się jakoś krzywo zrosnąć, bo przy dźwiganiu cięższych rzeczy odczuwał silny ból w piersiach. Wychudzony, wciąż był jeszcze słaby a w gospodarstwie pracy było naprawdę dużo. Próbował pomagać w lżejszych pracach polowych, w stajni i w oborze, ale czuł, że jest dla nich ciężarem. Poza tym wcale go już takie życie nie cieszyło, to było królestwo szwagra i siostry Anny.

Nikomui nie wspominał o diamentach, które nadal trzymał w tym samym, szarym płóciennym woreczku schowanym teraz pośród swych prywatnych dokumentów, w zachowanym, wojskowym tornistrze. Nie chciał o nich nikomu opowiadać, nie wiedział ile naprawdę są warte, choć spodziewał się, że muszą mieć jakąś konkretną wartość. Postanowił zachować je na naprawdę trudne czasy, na czarną godzinę. Nie powiedział o nich nawet matce, kiedy zorientował się, że ona regularnie przekazuje wszystkie odłożone pieniądze organizacji finansującej misje chrześcijańskie rozsiane po całym świecie. W domu pełno było ulotek o tych misjach. Pewnie i te pieniądze, które otrzymałyby za diamenty próbowałyby przekazać na ten cel. A on w to ludzkie miłosierdzie już nie wierzył, nie po tym co widział w Afryce.

Dlatego źle się czuł w tej wiejskiej społeczności, której część regularnie uczęszczała na nabożeństwa do kościoła ewangelickiego, a większość, z racji wcześniejszych, tradycyjnych powiązań z klasztorem w Krzeszowie (Grüssau), do okazałego, katolickiego kościoła świętego Józefa.

Ucieszył się, kiedy został ostatecznie zwolniony z wojska i dostał nawet niewielką rentę. Pomagał jak mógł matce i szwagrowi, ale rozglądał się też za jakąś inną pracą, której by mógł podjąć. Długo szukał; w końcu znalazł pracę na kolei, na dworcu kolejowym w Szczawienku (Nieder Salzbrunn), zaraz za Świebodzicami (wtedy nazywanymi się Freiburg).

Z chęcią zamienił mundur żołnierski na przydziałowy mundur kolejarski. Nowa praca wiązała się z koniecznością opuszczenia wsi i znalezienia jakiegoś lokum bliżej stacji. Wieś opuszczał bez żalu. Z trudem wytrzymał tam 6 długich lat, nie czuł przywiązania do tej ziemi.

Praca na kolei bardzo mu odpowiadała; nie była zbyt trudna chociaż bardzo odpowiedzialna. Dworzec w Szczawienku był ważny, tu rozchodziło się kilka linii kolejowych, pasażerskich i towarowych. Tory biegły po obu stronach budynku dworca, odchodziło od nich szereg bocznic. Obok dworca stał rząd zabudowań i składów przeznaczonych do magazynowania oraz załadunku, i rozładunku wielu towarów.

Wraz z dwoma, równie jak on spokojnymi kolegami Anton pracował przy kierowaniu i rozdzielaniu składów pociągów towarowych, obsługując bocznicę, gdzie dokonywano przeładunku węgla i innych towarów dostarczanych na stację, lub tam wyładowywanych.

Jeszcze zanim podjął pracę na stacji znalazł sobie małe, tanie mieszkanie przy ulicy Wałbrzyskiej (Waldenburger Strasse). Mieszkanie było naprawdę niewielkie, był to mały pokój z jeszcze mniejszą kuchenką mieszczący się na poddaszu dwupiętrowego budynku, stojącego w pobliżu skrzyżowania z drogą prowadzącą do Seitendorf (czyli dzisiejszego Poniatowa). Było to tuż za wiaduktem kolejowym, po którym przejeżdżały pociągi ze Szczawienka do Starego Zdroju (Altwasser), na linii Wrocław-Wałbrzych. Gdyby chciał, mógłby tymi torami dojść do pracy, ale po torach nie maszeruje się zbyt wygodnie. Dojeżdżał więc do pracy tramwajem - to było tylko kilka przystanków.

Wałbrzych, ówczesny Waldenburg miał bardzo dobrze rozwiniętą komunikację tramwajową. Już we wrześniu 1898 roku uruchomiono w mieście pierwszą linię tramwajową łączącą dworzec kolejowy w Szczawienku z centrum Wałbrzycha, którą wkrótce przedłużono jeszcze do Dolnego Sobięcina a potem aż do Podgórza (do dworca kolejowego Wałbrzych Główny - Dittersbach). We wrześniu 1907 roku uruchomiono też linię do Szczawna Zdroju przez Białą Kamień. To wtedy głównym węzłem komunikacyjnym miasta stał się dzisiejszy Plac Grunwaldzki, wtedy nazywający się Vierhäuser Platz, czyli plac Czterech Domków.

Skąd taka dziwna nazwa? Już około 1850 roku Hochbergowie, potężni i bogaci właściciele ziemscy z Książa, czyli zamku Fürstenstein, posiadający też kilka kopalń węgla, zbudowali tam pierwsze osiedle górnicze „Vierhäuser”, przeznaczone dla pracowników zatrudnionych w ich kopalniach, przy szybach „Conrad” i „Graf von Schweinitz”. To małe osiedle składało się z szeregu klasycystycznych domków zbudowanych nad rzeczką Pełcznicą.

Dzięki tramwajom ruch ludności w mieście zdecydowanie się zwiększył, mieszkańcy dojeżdżali do pracy, jeździli na zakupy w centrum miasta, w odwiedziny i na niedzielne wycieczki. Regularnie kursujące tramwaje miały na placu Czterech Domków, swoją główną stację i krzyżówkę.

Bardzo ważnym wydarzeniem i wielkim świętem, także dla Antona i jego kolegów, było oddanie do użytku w dniu 1 czerwca 1914 roku pierwszego na Śląsku zelektryfikowanego odcinka linii kolejowej. Był to odcinek liczący prawie 35 kilometrów, prowadzący właśnie od stacji Antona, czyli Nieder Salzbrunn, przez Mieroszów, do Mezimesti (wtedy Halbstadt).

Anton miał już 32 lata i chciał jakoś urządzić sobie własne życie. Nie grzeszył urodą, nie był też zbyt rozrywkowym człowiekiem, choć nie był też ponurakiem. W końcu przypadkowo poznał miłą panią w podobnym wieku. Pewnego letniego dnia spotkał ją na peronie dworca. Siedziała na ławce a obok stały dwie nieduże, kartonowe walizki. Pomógł jej zanieść bagaż do poczekalni i do przechowalni bagażu. Przed dalszą drogą chciała coś zjeść w dworcowej restauracji. Ponieważ był już po pracy, spytał nieznajomą, czy może jej towarzyszyć. Ona zjadła klopsy z ziemniakami i kapustą a on zamówił sobie piwo i spokojnie rozmawiali sobie o wszystkim, i o niczym.

Anton się przedstawił, w kilku słowach opowiedział co robi na dworcu a potem spytał jak ona się nazywa i co ją sprowadza do Szczawienka. Odpowiedziała, że nazywa się Gertruda, i będzie teraz pracować w Wałbrzychu, a właściwie w Starym Zdroju.

Okazało się, że przyjechała z Kuźnic Świdnickich (Fellhammer), gdzie wciąż mieszkali jej rodzice. Ojciec był górnikiem, pracował w kopalni Friedenshoffnung, na szybie Barbara. Ona po ukończeniu szkoły pomagała matce w pracach domowych, uprawiała ogród a czasem szła coś dla znajomych. Ciotka, która mieszkała w Starym Zdroju, znalazła jej pracę w zakładach porcelany Tielscha i nawet zgodziła się odstąpić jej jeden pokój w swoim mieszkaniu przy Charlottenbrunnen Strasse. Teraz chciała poczekać na pociąg, który odjeżdżał za godzinę ze Szczawienka do Starego Zdroju - był to tylko jeden przystanek kolejowy.

Anton zauważył, że nie musi czekać na pociąg, szybciej zostanie się na miejsce tramwajem. Zaoferował, że odprowadzi ją na przystanek tramwajowy. Gertruda od razu bardzo mu się spodobała, do tego była bardzo spokojna i miła. Pomógł jej nieść bagaż. Długim tunelem prowadzącym z peronu wprost na Waldenburger Strasse przeszli z dworca na przystanek tramwajowy. Tramwaj akurat już czekał na przystanku, tam był koniec jego trasy, więc tam też się pożegnali. Gertruda gorąco mu podziękowała i uśmiechnęła się tak, że Anton zapomniał języka w gębie. W ostatniej chwili spytał, czy mogliby spotkać się w najbliższą niedzielę.

- Dobrze, ale gdzie?

Bez namysłu odpowiedział: - Na promenadzie w Szczawnie Zdroju, będę czekał przy pijalni wód mineralnych. Uznał, że będzie to najlepsze i najpiękniejsze miejsce w okolicy.

Tak się zaczęło. Ich spotkania były coraz częstsze, coraz lepiej się poznawali. Truda dostała pracę w fabryce porcelany Tielscha. Praca nie była lekką, ale ona była zdrową i silną kobietą, choć na pozór bardzo szczupłą. Fabryka Tielscha zatrudniała prawie 1600 pracowników i była wtedy największą fabryką porcelany w całym państwie niemieckim. Doskonale prosperowała rozrastając się szybko wzdłuż biegnącej obok linii kolejowej. Jeszcze przed 1890 rokiem Tielsch zbudował przy fabryce, ale po drugiej stronie torów, okazałą rezydencję rodzinną, wspinały neobarokowy pałac, usytuowany przy Breslauer Strasse.

Po drugiej stronie ulicy funkcjonowały, współpracujące z fabryką porcelany, zakłady kalki ceramicznej założone przez Emila Wunderlicha. Złośliwa plotka głosiła, że założyciel i właściciel firmy produkującej kalkomanię dla fabryk porcelany, Emil Wunderlich, rozpoczął swą karierę przemysłowca od kradzieży maszyny litograficznej z fabryki barona Tielscha.

Anton przyjeżdżał po Gertrudę zaraz po pracy korzystając z pociągu, na który miał zniżkę, albo jeździł do niej tramwajem, kiedy wyruszał z domu przy Walenburger Strasse.

Spotykali się coraz częściej, dobrze się rozumieli, poznał i polubił jej ciotkę, i coraz częściej bywał u nich w domu. Bardzo lubili chodzić do kina. Mieli w czym wybierać; kin w Wałbrzychu było pięć czy sześć. Najbliżej były dwa - jedno na Szczawienku, drugie na Starym Zdroju. To na starym Zdroju było eleganckie, miało miękkie, wyściełane fotele. Kino na Szczawienku było mniejsze i miało drewniane siedziska, które przy składaniu strasznie hałasowały.

Było im dobrze razem. Obojgu do tej pory brakowało w życiu czułości, więc bardzo lubili być ze sobą. Anton zaczął poważnie myśleć o przyszłości i wspólnym życiu. Docierało do niego, że naprawdę powinien już pomyśleć o ożenku i o założeniu własnej rodziny.

Przypomnił sobie wtedy o kamieniach przywiezionych z Afryki. Pomyślał, że warto byłoby wybrać się do Wrocławia, aby sprawdzić ile naprawdę warte są te przechowywane przez niego afrykańskie diamenty. Może to właściwa chwila aby je spieniężyć?

Sprzedając diamenty jakiemuś uczciwemu, zaufanemu jubilerowi mogliby urządzić się jakoś na początek, kupić większe mieszkanie a może nawet mały domek.

Nie miał jednak z kim porozmawiać o tej sprawie i zorientować się choćby co do ich szacunkowej wartości. Gertrudzie jeszcze o nich nie powiedział ponieważ obawiał się, że mogą okazać się kamykami bez większej wartości i niepotrzebnie będzie jej robić jakieś nadzieje.

Zupełnie nie orientował się w ich cenie, choć wiedział, że w Afryce byli ludzie, którzy na diamentach dorobili się wielkich majątków. Miał, co prawda, tylko trzy niewielkie, surowe kamyczki, ale może i one stanowiły jakiś konkretny majątek.

W Wałbrzychu były lombardy, ale prawdziwych pracowni jubilerskich nie było. Na pewno były we Wrocławiu, lecz kiedy już był zdecydowany przekonać się w końcu o ich wartości, ważniejsze sprawy odsunęły na bok wyjazd do Wrocławia. Zupełnie co innego zaprzętnęło jego uwagę, wytrąciło ich życie z utartych, codziennych ścieżek i zmusiło do zmiany planów.

5. Wojna i miłość

2 sierpnia 1914 roku wszystkie gazety śląskie podały wiadomość o powszechnej mobilizacji, po czym już 3 sierpnia poinformowano o rozpoczęciu wojny z Rosją. Większość Ślązaków, takich jak Paul, szwagier Antona, przyjęła te wiadomości z entuzjazmem. Również na ulicach Wałbrzycha mieszkańcy wiwatowali na cześć cesarza i sprzymierzeńców Niemiec. Spodziewano się, że wojna będzie krótka, i podobnie jak w 1870 roku skończy się wielkim sukcesem Rzeszy Niemieckiej. Znowu napłyną wielkie pieniądze od pokonanych, można będzie budować i inwestować poprawiając poziom swego życia. W dzień po ogłoszeniu mobilizacji sformowany został wałbrzyski batalion landsturmu, który zasilił załogę garnizonu wrocławskiego. Później również trwał normalny pobór rezerwistów.

Anton przyjmował te wiadomości bez wielkiego entuzjazmu, choć propaganda robiła co mogła aby wzbudzić w Niemcach entuzjazm i jak najszerze poparcie dla działań wojennych. Początek wojny był bardzo obiecujący. Już 4 sierpnia wojska niemieckie wkroczyły do Belgii, a na froncie wschodnim najpierw zatrzymały napór Rosjan, po czym same przeszły do natarcia i w końcu sierpnia zadały wojskom rosyjskim dotkliwą porażkę w Prusach Wschodnich. Armie niemieckie pod wodzą Paula Hindenburga rozbiły wojska rosyjskie pod Tannenbergiem. Koledzy Antona w pracy czytali o tych sukcesach i gorączkowali się dyskutując o tym jak wielkie korzyści dla cesarstwa mogą z nich wyniknąć.

Anton czytał i słuchał o tych zwycięstwach bez euforii. Trzeźwo patrzył na świat. Po swych afrykańskich doświadczeniach, przewidywał, że mogą to być tylko początkowe powodzenia, spowodowane zaskoczeniem, i że wcale nie będzie to szybkie i łatwe zwycięstwo, jak to sobie powszechnie wyobrażano. Ale tacy jak on byli w zdecydowanej mniejszości.

Na szczęście nie groziło mu już powołanie do wojska. Choć miał dopiero 32 lata, to jednak z uwagi na stan zdrowia, i pracę na kolei, która w czasie wojny pełniła bardzo ważną rolę, choćby z uwagi na transport wojsk i uzbrojenia, nie musiał obawiać się poboru. Głośno mówił o tym, że swoje już odsłużył i nie chce już nikogo zabijać, nawet wrogów cesarza.

Teraz cieszył się swoim prywatnym szczęściem, był zakochany i chciał spędzić resztę życia z Gertradą. Ona podzielała jego uczucia, wiedziała, że jest kochaną i dla niej Anton też stał się wkrótce najbliższą osobą. Poznał jej rodziców, lecz na razie były to tylko niezobowiązujące wizyty. Jeździli do nich pociągiem. Ze Szczawienka do Fellhammer mieli bezpośrednie połączenie, przez Szczawno i Biały Kamień. To bardzo malownicza trasa ze wspaniałymi widokami, miejscami wiodąca głębokimi skalistymi wąwozami, przebiegająca u podnóża najwyższej wałbrzyskiej góry - Chełmca (Hochwaldu).

Na razie nie wspominał jej rodzicom o swoich planach, uważał, że to jeszcze za wcześnie. W końcu zdecydował się przedstawić Gertradę swojej matce. Regularnie jeździł do Alt Reichenu aby odwiedzać matkę, siostrę i szwagra. Miał już siostrzeńca. Szwagier Paul, zdeklarowany rojalista i nacjonalista, na chrzcie dał swemu synowi na imię Wilhelm, ale wszyscy używali zdrobnienia i mówili do niego Willi. Siostrzeniec bardzo lubił Antona, z którym mógł do woli powyglądać się, ale mógł również porozmawiać poważnie, bo wujek potrafił i

chciał go słuchać. Sympatia była wzajemna, Anton też bardzo polubił Willego widząc, że to bardzo bystry, mądry i wesoły chłopak.

Spokojna a nawet łagodna Gertruda przypadła matce do gustu. Jako podarunek dla matki przywiozła do Bogaczowic ciasto - sernik ozdobiony górą cienkimi paskami ciasta ułożonymi w ukośną kratkę i posypany kruszonką. Paul dość grubiańsko stwierdził, że Anton będzie miał doskonałą kucharkę i pielęgniarkę. Chciał koniecznie pochwalić się swoim gospodarstwem i pokazać jak mu się dobrze powodzi. Żartował twierdząc, że Anton nigdy by sobie nie poradził tak jak on. Anna obsztorcowała męża i starała się przywołać go do porządku. Ale generalnie było miło i przyjemnie. Dopiero gdy matka próbowała skierować rozmowy na tematy religijne i kościelną działalność misyjną, Anton przyspieszył koniec wizyty, wykorzystując jako pretekst godzinę odjazdu autobusu do Salzbrunn (Szczawna-Zdroju), i fakt, że do przystanku trzeba było zejść na dół, do centrum wsi. Odprowadzili ich Anna i Willi, który koniecznie chciał, aby wujek zabrał go kiedyś do siebie i pokazał mu pociągi i tramwaje.

Tymczasem wojna przeciągała się, pochłaniając wciąż nowe ofiary, wciągając do walki wciąż nowe kraje i narody, w końcu stając się wojną światową. Początkowa euforia i optymistyczne, prowojenne nastroje powoli opadały. Nawet koledzy Antona, ci najwięksi pyskacze, jakoś ucichli. Choć działania wojenne nie dotarły nawet do granic Śląska, to jednak sytuacja ludności nawet tutaj znacznie się pogorszyła. Wzrosło bezrobocie, wojna spowodowała zastój gospodarczy, prosperowały tylko firmy pracujące dla wojska. Wobec braku mężczyzn, którzy walczyli w tym czasie w okopach, wzrosło zatrudnienie kobiet.

Obawa o pracę Antona nie dotyczyła, o to mógł być spokojny. Ruch na stacji odbywał się normalnie a nawet wzmógł się, choć obsługa wyraźnie się zmniejszyła. W mieście zaczęło jednak brakować żywności, już od początku 1915 roku wprowadzono reglamentację i system kartkowy. Zaczęto stosować tańsze domieszki, wypełniacze dodawane do artykułów żywnościowych (chleb z ziemniakami), lub artykuły zastępcze, czyli tak zwane "ersatz", jak choćby kawa zbożowa, czy wojenna marmolada z brukwi. Wprowadzono też cenzurę i godzinę policyjną.

Kłopoty żywnościowe też nie dotyczyły Antona w tak dużym stopniu. Pomagała mu matka i siostra, mimo niechęci szwagra. Było to zresztą zupełnie zrozumiałe, szwagier musiał teraz odstawiać zwiększone ilości płodów rolnych na potrzeby wojennej gospodarki cesarstwa. Anton z kolei dbał o to aby Gertrudzie nie brakowało podstawowych produktów, choćby takich jak ziemniaki i chleb. Znacznie trudniej żyło się rodzicom Gertrudy w Kuźnicach Świdnickich (Fellhammer). Ratowali się jak mogli tym co zdołali zebrać na swojej działce i przechować w piwnicy, w skrzyniach z piaskiem. W komórkach hodowali króliki i gołębie.

Burmistrz Wałbrzycha, doktor Erdmann, skierował do mieszkańców miasta apel, w którym nawoływał do udzielania pomocy materialnej rodzinom żołnierzy frontowych. W 1916 roku na placu Magistrackim, czyli na ówczesnym Keiser-Wilhelm-Platz, w specjalnie ustawionej altanie stanął tak zwany "Żelazny Górnik" ("Eiserne Bergmann"), ufundowany celem zebrania środków na pomoc społeczną. Zdemontowano go dopiero w 1920 roku.

W sierpniu 1916 roku, z inicjatywy magistratu, dla najuboższych grup ludności otwarto stołówkę, tak zwaną kuchnię wojenną, która przygotowywała dziennie 1750 litrów ciepłej strawy. W styczniu 1917 roku uruchomiono drugą, podobną stołówkę. W miarę przedłużania się wojny pogarszała się sytuacja ludności. Do domów wielu rodzin, już nie tylko tych najbiedniejszych, zadrzała prawdziwy głód. Doszło do tego, że zimą, z 1917 na 1918 rok, głównym pożywieniem najuboższych warstw ludności stała się brukiew. W mieście zaczynało brakować rąk do pracy. W miejsce powołanych do wojska robotników zatrudniano powszechnie kobiety i młodzież.

Gertruda także ciężko pracowała, wracała do domu bardzo zmęczona. Zawsze była szczupłą, ale teraz była po prostu chuda. Jedyną jej radością były spotkania z Antonem. Tulili się do siebie jak dzieci, choć dawno minęła im już trzydziestka. Truda była od niego młodsza, miała dopiero 33 lata. Ale ślub odkładali na czas po wojnie, kiedy będzie można urządzić porządne wesele i zaprosić całą rodzinę.

Wśród ludzi rosło zniechęcenie i gorycz. Nasilało się niezadowolenie żołnierzy i ludności cywilnej. Na frontach pierwszej wojny światowej śmierć poniosło 583 wałbrzyszan. Anton mógł mówić: - A nie mówiłem. Ale to przecież niczego nie zmieniało.

Nic też dziwnego, że w takiej sytuacji nie przychodziły mu na myśl jakieś tam, zapomniane kamyczki. Działo się zbyt wiele: bieda, strajki, przeciągająca się i w ostatecznym rozrachunku przegrana wojna. 28 czerwca 1919 roku, w Wersalu, podpisano w końcu traktat pokojowy, który nie był dla cesarstwa łagodny. Zresztą cesarstwa już też nie było. Po sześciomiesięcznych obradach kongresu, Niemcy zmuszone zostały do podpisania podyktowanego im traktatu pokojowego, który nakładał na państwo wielkie kontrybucje i pozbawiał je większości zdobyczy terytorialnych w Europie, oraz wszystkich kolonii, także tych o które przed wojną walczył Anton.

6. Kryzys, ciężkie czasy powojenne i w końcu upragniona stabilizacja

Wraz z końcem wojny skończyło się ostatecznie także Cesarstwo Niemieckie. Niemcy na krótko pograżyły się wtedy w chaosie i niewiele brakowało, aby na wzór Rosji Radzieckiej stały się Niemiecką Republiką Rad.

Anton był ostrożny, nie wiedział co o tym wszystkim sądzić. Przemawiały do niego idee socjalistyczne, po tej strasznej wojnie świat musiał się zmienić, ale likwidacji własności prywatnej nie popierał. Komunizmu po prostu się bał. Ale nie zgadzał się też ze szwagrem, który przeklinał Francuzów i bolszewików i twierdził, że Niemcy jeszcze staną na nogi, znowu staną się mocarstwem i wtedy się im odwdzięczą. Każde spotkanie z nim kończyło się kłótnią. Głównie z tego powodu coraz rzadziej bywał w Alt Reichenau. Przykro mu było tylko z powodu siostrzeńca Willego. Tego bystrego i rezolutnego chłopca bardzo polubił. Matka żyła już w swoim świecie, nie bardzo wiedząc, co się dzieje wokół.

Ostatecznie, mimo silnych zaburzeń politycznych, Niemcy stały się w końcu typową republiką burżuazyjną, z rządem tworzonym na podstawie demokratycznych wyborów.

Ale w całym zagłębiu wałbrzyskim i noworudzkim wciąż wrzało. W lipcu 1918 roku doszło do gwałtownego wystąpienia górników wałbrzyskiej kopalni "Fürstensteiner Gruben" i proklamowania strajku. Większość ludzi współczuła im i rozumiała ich ciężkie położenie. Po sześciu dniach strajk się zakończył - górnicy uzyskali podwyżki zarobków i pewną poprawę warunków bytowych. W całych Niemczech, także na Dolnym Śląsku, sytuacja polityczna i gospodarcza była niepewna, narastała inflacja, a w ślad za nią postępowała bieda, a czasem nawet głód. Na Śląsku obok całkowicie zdewaluowanej marki pojawiały się wtedy zastępcze pieniądze papierowe emitowane przez władze miejskie i gminne, a nawet przez poszczególne przedsiębiorstwa. Tego rodzaju zastępcze pieniądze, nazywane „notgeldami”, wydawane były również w Wałbrzychu i w Boguszowie.

Latem 1923 roku inflacja była już ogromna. Nieco wcześniej, w styczniu, Francuzi i Belgowie rozpoczęli okupację Zagłębia Ruhry, najważniejszego regionu przemysłowego Niemiec. Miała to być kara za zaległości w zapłacie traktatowych reparacji wojennych. Drukowano „puste” pieniądze. W lipcu za dolara trzeba było już zapłacić 100 tysięcy marek, w sierpniu 300 tysięcy, a we wrześniu 3 miliony. Rekord padł 1 grudnia, gdy dolar osiągnął wartość 6,7 biliona marek: 6 700 000 000 000.

Oczywiście krach wywarł wielki wpływ na niemieckie społeczeństwo. Bochenek chleba czy zwykły znaczek pocztowy kosztowały tej jesieni ponad bilion marek, więc klasa średnia straciła wszystkie swoje oszczędności. By zrekompensować robotnikom inflację, często wypłacano im pensję dwukrotnie w ciągu dnia, żartowano, że do jej transportu potrzebna była taczka. Znowu codziennością stał się handel wymienny. Dzieci bawiły się bezwartościowymi stertami pieniędzy, ich rodzice palili banknotami w kominkach, żebracy odmawiali przyjmowania nominałów mniejszych od miliona.

Kryzys został w końcu opanowany dopiero zimą, na przełomie lat 1923 i 1924, kiedy nowym prezesem Reichsbanku został Hjalmar Schacht. Pod jego kierownictwem przeprowadzono reformę monetarną, zastępując stare papiermarki nowymi rentmarkami, których nominały były niższe o 12 zer.

W lecie 1923 roku strajkowały kopalnie i większość zakładów przemysłowych Wałbrzycha. Kolejarze, traktowani jako mundurowa służba państwowa, strajkować nie mogli. Zresztą oni nie mieli tak źle. Dzięki darmowym biletom często, wraz z Gertrudą jeździli do Fellhammer, do jej rodziców. Anton dobrze się tam czuł, jej ojciec miał poglądy bardzo podobne do jego zapatrywań na tematy społeczne i polityczne.

Górnicy wciąż się burzyli, płace nie rosły a warunki pracy były coraz gorsze. Podobnie było także w fabrykach porcelany. Tam także nie było lekkiej pracy. Gertruda poznała cały proces technologiczny, od nadawania kształtu naczyniom metoda odlewania masy w formach gipsowych, przez suszenie i wypalanie biskwitowe, dekorowanie i szkliwienie aż ostatecznego wypalania, sortowania i składowania w magazynach. Najgorsze dla niej było szkliwienie, czyli zanurzanie półfabrykatów w wodnej zawieszynie szkliva. Była to praca na taśmie a u Tielscha nie wprowadzono jeszcze wtedy automatów do szkliwienia.

Gertruda opowiadała, że w zakładach Tielscha także organizowano po cichu spotkania robotników i kontaktowano się z pracownikami zakładów porcelany Kristera z Wałbrzycha i Ohmego ze Szczawienka. U nich też przygotowywano strajk. Gertruda nie brała aktywnego udziału w tych spotkaniach, choć oczywiście popierała żądania zwiększenia wynagrodzenia za ich naprawdę męczącą pracę. Jednak bała się konsekwencji będąc z natury osobą spokojną i unikającą awantur. W zakładach Tielscha do strajku nie doszło.

Gorzej było w Neurode (w Nowej Rudzie). W nocy z 10 na 11 sierpnia na ulice Nowej Rudy wyszła głodująca ludność miasta i okolicy. Interweniowała policja pośpiesznie sprowadzona ze Świdnicy; było kilkanaście śmiertelnych ofiar tej brutalnej interwencji.

Rok 1923 był w regionie wałbrzyskim rokiem bardzo ciężkim. Dopiero w następnym roku sytuacja gospodarcza nieco się ustabilizowała, choć wzrosło jeszcze bezrobocie i wydłużono robotnikom ich dzienny czas pracy.

Od czasu do czasu Anton przypominał sobie o kamieniach leżących w dolnej szufladzie komody. Nie mógł ich teraz spieniężyć, przecież pieniądze traciły na wartości z dnia na dzień. Niech sobie kamyczki leżą, nie przeszkadzają a kiedyś może jeszcze się przydadzą. Po dwudziestym piątym roku sytuacja nieco się unormowała i można było śmiało patrzeć w przeszłość.

Miał już 43 lata, kiedy w końcu zdecydował się na małżeństwo. Ślub wzięli w starym, katolickim kościele pod wezwaniem świętej Anny w Szczawienku. Anton nie był praktykującym

katolikiem, ale zgodził się na małżeństwo kościelne w obrządku katolickim z uwagi na matkę i rodziców Gertrudy. Jemu było wszystko jedno, czy uroczystość odbędzie się w kościele katolickim, czy też w stojącym tuż obok kościele ewangelickim. Zrobił to przede wszystkim dla żony, jej rodziców i dla matki, która nie wyobrażała sobie, żeby mogło być inaczej.

Ale mieszkać z rodzicami nie chcieli, woleli gnieździć się w jego małym mieszkanku przy Waldenburger Strasse.

Nie było tam łazienki, ubikacja mieściła się w przybudówce, mieszkanie ogrzewało się kuchenką węglową; komórka na węgiel była na podwórku. Mimo tych utrudnień byli tam szczęśliwi. W krótką podróż poślubną wybrali się do Bad Liebenstein w Turynii.

W rok po ślubie Anton, jako długoletni pracownik niemieckich kolei, otrzymał ładne, służbowe mieszkanie w jednym z kolejarskich budynków na nowym osiedlu Hartebusch Siedlung budowanym już od 1920 roku. Osiedle usytuowane pomiędzy Starym Zdrojem a Białym Kamieniem, na wzgórzu za dworcem kolejowym Wałbrzych Miasto, było jednym z najładniejszych osiedli mieszkaniowych Wałbrzycha. Pomiedzy tarasowo usytuowanymi uliczkami przewidziano miejsce na zielen, skwery i place zabaw dla dzieci. Mieszkanie położone na parterze dwupiętrowego budynku przy ulicy Am Hartebusch, było dla nich rozwiązaniem idealnym. Gertruda miała do pracy dosłownie dwa kroki, wystarczyło przejść na drugą stronę ulicy Hartauer Strasse (dzisiaj to ulica Żeromskiego) a Anton dojeżdżał do pracy na Szczawienku pociągami z dworca Waldenburg-Altwasser. Budynek tego dworca otwarto już w 1853 roku, ale potem był przebudowywany i rozbudowywany, ostatnio właśnie w 1925 roku, kiedy otrzymał piękną kopułę na hallem wejściowym i reprezentacyjne schody od strony niewielkiego placu przy ulicy Wrocławskiej. W pobliżu domu mieli nawet niewielki ogród, w którym z przyjemnością przesiadywali w ciepłe dni. Do pełni szczęścia brakowało im tylko dziecka, którego Gertruda bardzo pragnęła.

Dla niej była to już ostatnia chwila, aby jeszcze móc urodzić dziecko. Niestety, mimo starań nie udawało się. Bardzo mocno to przeżywała. Anton pocieszał ją jak tylko mógł, ale to niewiele pomagało. W końcu musieli pogodzić się z tym, że dzieci mieć nie będą.

Gertruda całą swą niewykorzystaną macierzyńską miłość przelała wtedy na siostrzeńca Antona, Willego. A ten wyrastał na naprawdę rezolutnego i mądrego młodzieńca.

Ponieważ rodzice nie chcieli, aby chodził do miejscowej, wiejskiej szkoły w Alt Reichenau uzgodnili z Gertradą i Antonem, że Willi zamieszka u nich, jak na stacji, i będzie chodził do szkoły w Wałbrzychu, a do Starych Bogaczowic będzie zjeżdżał na sobotnie popołudnia i na niedziele.

Ponieważ wszyscy w rodzinie byli katolikami, poszedł do szkoły katolickiej znajdującej się na osiedlu Sandberg. Tam też, w pobliskim kościele przy Wilhelmstrasse poszedł do pierwszej komunii. Do szkoły dojeżdżał tramwajem, na szczęście przystanek znajdował się bardzo blisko szkoły, przy skrzyżowaniu Waldenburger Strasse z Schulstrasse.

Szkoła mu się nie podobała. Ciężka bryła z brunatnej cegły nie zapraszała do równie ponurego wnętrza. Klasy, do których trudno docierało słońce, nie sprzyjały jasnym i pogodnym myślom. Na szczęście Willi miał pogodny charakter i trudno było go zniechęcić. Uczył się dobrze, wujek pomagał mu jak tylko potrafił. Do tego była jeszcze szkolna biblioteka a w niej ciekawe książki i atlasy. Pasjonował się geografią. Anton często opowiadał mu o Afryce a on słuchał z otwartymi ustami.

Życie potoczyło się ustabilizowanym rytmem. Praca, ogród, wyjazdy do Alt Reichenau i do Fellhammer. Czas leciał, a Anton i Truda się pomału się starzeli. Willi po ukończeniu szkoły podstawowej wrócił do domu rodziców a potem zaczął uczęszczać do gimnazjum w Szczawnie Zdroju. Często ich odwiedzał. Zawsze był bardzo serdecznie witany i wypytywany o to co porabia i jak mu idzie nauka. A oni zaczynali już pomału myśleć o tym, jak urządzić sobie życie na emeryturze.

7. Wielkie zmiany po dojściu do władzy narodowych socjalistów.

W życiu nigdy nie można być pewnym tego, co przyniesie przyszłość. I jakoś już tak jest, że zbyt długo nie może być dobrze.

Zaczął się od niewinnego przeziębienia, jakie dopadło ich oboje zimą 1934 roku. Choroba się przeciągała, mocno ich osłabiła, ale zdawali sobie sprawę, że nie mogą zbyt długo chorować. Trzeba było szybko wracać do pracy; w fabrykach porcelany groziły redukcje a i na kolei młodzi tylko czekali na to, aż jakiś stary pracownik zwolni miejsce. Przed emeryturą nie mogli sobie pozwolić na rezygnację z pracy.

Aż do wiosny nie mogli pozbyć się kaszlu. Nie pomagał miód, herbata z dzikiego bzu i syrop z cebuli. Anton pierwszy wyszedł w końcu jakoś z tego choróbska, ale u Gertrudy doszło do zapalenia płuc. Nie chciała stracić pracy lecz choroba nie odpuszczała i musiała brać chorobowe, do tego z dnia na dzień była coraz bardziej osłabiona i podatna na wszelkie zakażenia. W końcu lekarz zakładowy skierował ją na badanie płuc w specjalistycznej poradni przy Barbastrasse, w sąsiedztwie szpitala Knappschafts Lazaret. W republice weimarskiej była nieźle rozwinięta sieć poradni przeciwgruźliczych i na Dolnym Śląsku istniało wiele ośrodków leczenia chorób płuc. Preferowane i bardzo popularne było leczenie klimatyczne. Uważano, że zmiana klimatu i właściwa dieta, poprzez wzmocnienie organizmu pacjenta, mogą przyczynić się do szybszego zwalczenia choroby. Problemem było jednak to, że gruźlica była chorobą warstw najuboższych a tych w Wałbrzychu nie brakowało. Biedota gnieźdząca się w tragicznych warunkach życiowych i mieszkaniowych, przy ogromnym zadymieniu i zapyleniu powodowanym przez kopalnie i koksownie, miała niewielkie szanse na wyleczenie, za to często nieświadomie rozsiewała jeszcze chorobę w swoim otoczeniu, w zakładach pracy i w tramwajach. Tylko zamożni pacjenci mogli pozwolić sobie na kurację w sanatoriach budowanych w górach.

Okazało się, że Truda miała już początki gruźlicy. Anton wystraszył się nie na żarty. W okolicach Wałbrzycha znajdowało się kilka sanatoriów, gdzie mogłaby wrócić do zdrowia, ale to kosztowało. Popularne było Sokołowsko (Görbersdorf), gdzie oprócz wielkiego zakładu doktora Brehmera istniały też inne sanatoria przeciwgruźlicze. Zaraz na początku tej miejscowości powstało znane sanatorium, które prowadził doktor Weickers. Był też szpital w Rościszowie (Steinseifersdorf), koło Pieszyc (Peterswaldau), gdzie przyjmowano cięższe przypadki. Antonowi najbardziej spodobał się szpital w pobliżu Kowar (Schmiedeberg im Riesengebirge), gdzie w dodatku było stosunkowo najtaniej.

Wziął urlop i razem pojechali do Kowar, a stamtąd do pobliskiego szpitala Wysoka Łąka (Hohenwiesen). Z tarasów szpitala roztacza się tam piękny widok na wschodnią część Karkonoszy. Szpital ten, specjalizujący się w chorobach płuc, zbudowano w 1902 roku według projektu wrocławskiego architekta Karla Grossera, który wzorował się na wysokogórskim sanatorium w szwajcarskim Davos.

Anton wydał wszystkie oszczędności na opłacenie półrocznego pobytu Gertrudy w tym sanatorium. W tym czasie znana już była szczepionka BCG (Bacille Calmette-Guérin), opracowana w 1921 roku, po odkryciu francuskich naukowców: Alberta Calmette i Camilla Guérin, ale w tamtym czasie zaczęto dopiero szczepić nią niemowlęta. Wcześniej żadnych szczepień nie było.

Zdając sobie sprawę czym może skończyć się ta choroba, aby ratować żonę Anton był zdecydowany spieniężyć w końcu kamienie, które przywiózł z Afryki. To był ten najważniejszy moment. Pojechał pociągiem do Wrocławia, gdzie odszukał jubilera, którego adres znalazł w książce telefonicznej. Jubiler poprosił go do pokoju obok sali sprzedaży. Tam Anton wysypał na biurko swoje trzy kamienie. Jubiler uzbroił się w szkło powiększające, dokładnie obejrzał

kamienie, szczególnie zwracając uwagę na ich krawędzie, szukał pęknięć. W końcu zważył je dokładnie na jubilerskiej wadze i powiedział:

- To są bardzo surowe kamienie, jak pan widzi największy z nich waży 10 gramów, ale jest mocno spękany i po obróbce niewiele z niego zostanie - najwyżej jedna piąta tej wagi, czyli maksymalnie 10 karatów. Mogę panu za wszystkie dać najwyżej osiemset pięćdziesiąt dolarów.

Anton mu nie uwierzył, był przekonany, że handlarz mocno zaniżył wycenę, ale był w sytuacji przymusowej, za wszelką cenę musiał ratować żonę i zdawał sobie sprawę z tego, że leczenie będzie drogo kosztować. Spróbował jednak targów i w końcu uzyskał cenę tysiąca dolarów. Dobili targu, jubiler obiecał przygotować formalną umowę sprzedaży i umówili się na dokończenie transakcji za dwa tygodnie, w połowie listopada. Anton schował kamienie do woreczka i wrócił do domu.

Wszystko pewnie ułożyłoby się dobrze, gdyby to były inne czasy, a nie ten nieszczęsny 1938 rok. A może była to klątwa tego czarnoskórego Herero z południowo-zachodniej Afryki. Nadeszła noc z 9 na 10 listopada, która w Niemczech przeszła do historii jako „Noc kryształowa” (Kristallnacht). Nazwa wzięła się stąd, że za zgodą i przyzwoleniem władz państwowych ulice niemieckich miast zostały tej nocy zasypane odłamkami szkła i kryształów ze zniszczonych żydowskich mieszkań i sklepów. Akcja ta nie ominęła sklepu i pracowni wrocławskiego jubilera, z którym umówiony był Anton. Sklep doszczętnie zdemolowano a jubiler, próbujący przeciwstawić się bojówkarzom SA został tak dotkliwie pobity, że wyładował w szpitalu z obrażeniami zagrażającymi jego życiu. Nie było już mowy o żadnych transakcjach.

Jak to możliwe, że w cywilizowanym kraju doszło do takich ekscesów. To nie stało się z dnia na dzień. W drugiej połowie lat dwudziestych również do Śląska dotarł ruch narodowo-socjalistyczny, stworzony przez Adolfa Hitlera i jego zwolenników zgromadzonych w Narodowo-Socjalistycznej Partii Pracujących Niemiec (NSDAP). Gauleiterem prowincji śląskiej został Helmuth Brückner. We Wrocławiu NSDAP szybko zyskała licznych zwolenników.

W Wałbrzychu szło to znacznie oporniej, dlatego Anton nie miał pojęcia, że Wrocław był już tak bardzo brunatny i nazistowski. W Wałbrzychu miejska organizacja NSDAP, założona w kwietniu 1925 roku liczyła zaledwie 14 członków i była raczej zjawiskiem marginalnym. Do utworzonej w lipcu 1926 roku formacji SA wstąpiło tylko 12 osób. W Białym Kamieniu komórka partii nazistowskiej powstała w 1927 roku i liczyła zaledwie kilka osób.

Jednak wraz ze wzrostem bezrobocia również i tutaj NSDAP rosła w siłę. W 1930 roku powstały organizacje nazistowskie w Szczawienku, Sokołowsku, Boguszowie i Kuźnicach Świdnickich. Najwięcej, bo aż 14 członków założycieli było w Kuźnicach (Fellhammer). Ojciec Gertrudy znał tych ludzi, ale omijał ich z daleka, nie znosił ich panoszenia się i dyktowania górnikom jak mają myśleć. Górniczy Wałbrzych również był oporny; według propagandy NSDAP nazywany był nawet "twierdzą czerwonych".

W wyborach do organów ustawodawczych Prus i Rzeszy Niemieckiej w maju 1928 roku na nazistów głosowało tu zaledwie 2% wyborców, kiedy na socjaldemokratów głosowało aż 48,6%. Na komunistów oddało wówczas swe głosy ponad 8% mieszkańców miasta.

Kryzys gospodarczy lat 1929-1933 wyraźnie zmienił te proporcje. Nastąpiła radykalizacja postaw, oczekiwano zmian, posłuch dawano tym, którzy obiecywali szybką poprawę sytuacji gospodarczej. Przywódca śląskich nazistów, gauleiter Brückner, ujął wielu wałbrzyskich górników oświadczając w czasie wiecu, zwołanego 11 sierpnia 1932 roku: "Najlepiej czuję się tutaj, wśród moich wiernych towarzyszy pracy".

Przejęcie przez narodowych socjalistów władzy w Wałbrzychu, w 1933 roku, odbyło się dość spokojnie. Na przełomie lutego i marca aresztowano 10 osób, a policja zajęła biura redakcji organu SPD "Schlesische Bergwacht". W wyborach do parlamentu Rzeszy, które odbyły się 5 marca 1933 roku, naziści swój największy sukces odnieśli właśnie na Dolnym Śląsku. Tylko

w Wałbrzychu znowu było nieco inaczej. Kandydaci NSDAP, mimo iż także wygrali te wybory, nie uzyskali tu jednak absolutnej większości (42,5%). Na reprezentantów SPD, mimo silnych nacisków działaczy nazistowskich oddano 27,5% głosów, a na KPD, co w tych warunkach było szczególnie znaczące, aż 12% głosów.

W ostatniej dekadzie czerwca nawet SPD uznano za ugrupowanie antypaństwowe i zostało rozwiązane. NSDAP stała się jedyną i dominującą siłą polityczną.

Wyraźny sukces naziści odnieśli we Wrocławiu. W ślad za tym zwycięstwem zaczęło się "wielkie sprzątanie". Już w kwietniu 1933 roku, na Tarnogaju utworzony został pierwszy w Trzeciej Rzeszy obóz koncentracyjny. Stworzył go wrocławski dowódca SA i jednocześnie prezydent policji, Edmund Heines. Już w pierwszym rzucie do obozu trafili zarówno prawdziwi, jak i potencjalni przeciwnicy nowej władzy.

Wśród 600 więźniów znalazł się tam także nadburmistrz Wałbrzycha socjaldemokrata Schubert. Po zlikwidowaniu tarnogajskiego obozu, w sierpniu 1933 roku, więźniów wywieziono do Osnabrück. Rozwiązano wszystkie organizacje i partie polityczne - przede wszystkim komunistyczne, zlikwidowano też oczywiście ich prasę. Samorząd miasta został zlikwidowany jeszcze w końcu 1933 roku, a nadburmistrzem Wrocławia został "stary towarzysz partyjny" doktor Hans Fridrich. Postępowała centralizacja władzy, aparat policyjny wzmocniono tworząc tajną policję - gestapo. Po uporaniu się z wewnętrzną konkurencją ("Noc długich noży") i po śmierci prezydenta Hindenburga, w sierpniu 1934 roku Hitler otrzymał tytuł "wodza i kanclerza Rzeszy Niemieckiej" (Führer und Reichskanzler).

Aby ludzie nie narzekali na zbyt ciężki los i nie szukali winnych w sferach władzy, dano im także wroga, na którego można było zrzucić większość win i odpowiedzialność za wszystkie codzienne trudności gospodarcze i organizacyjne. Już w kwietniu 1933 roku "Nationalsozialistische Schlesische Tageszeitung" (czyli Narodowosocjalistyczna Śląska Gazeta Codzienna) na wezwanie ministra propagandy Josefa Goebbelsa zapowiedziała ogólnoniemiecki bojkot żydowskich sklepów, zakładów usługowych lekarzy, adwokatów i w ogóle wszystkich Żydów.

Ta fala nienawiści rosła i rosła, aż doprowadziła do „nocy kryształowej”, która zburzyła nadzieje Antona na zdobycie funduszy przeznaczonych na leczenie Gertrudy. Bojówki SA i SS ruszyły do zorganizowanej akcji niszcząc i rabując żydowskie mienie. Policja nie interweniowała i nie przeszkadzała, gdy rozbijano witryny sklepów, wyrzucano z żydowskich mieszkań meble, naczynia i te "kryształy" kupione przecież za pieniądze zdobyte na krzywdzie Niemców. Płonęły synagogi. Rankiem 10 listopada 1938 roku Wrocław wyglądał jak po katastrofie. Wałbrzych, na początku zdecydowanie mniej nazistowski niż Wrocław, dociągnął później do przeciętnego poziomu, gdy totalna propaganda zrobiła już swoje.

W Wałbrzychu także spalono synagogę, stojącą spokojnie od ponad 50 lat na rogu ulic Świętej Jadwigi i Adama Mickiewicza.

Wprowadzanie "nowego ładu" pociągnęło za sobą także zmianę nazw wielu miejscowości i różnych obiektów geograficznych. W miastach zmieniano nazwy ulic. Odbywało się to w całej III Rzeszy; podobnie działo się i w Wałbrzychu. Adolf Hitler, jako wódz Rzeszy, obowiązkowo musiał mieć wszędzie swoją ulicę - i zawsze była to główna ulica każdej miejscowości. W Wałbrzychu była to dzisiejsza Aleja Wyzwolenia (Auenstrasse), w sąsiednim Białym Kamieniu jego imieniem nazwano ulicę Główną (Hauptstraße), tę samą, która po II wojnie światowej nazwana została ulicą Lenina, a po 1989 roku otrzymała imię gen. Władysława Andersa. Główna ulica Podgórze (Dittersbach), dzisiejsza ulica Niepodległości, nazywana była wówczas ulicą Hindenburga, a dzisiejsza ulica Lotników, która do 1933 roku nazywała się Friedrich Ebert Starsse, przemianowana została na Hermann Göring Straße.

Antona, podobnie jak wielu innych mieszkańców Wałbrzycha, złościły te zmiany, przez kilka lat nadal używał starych nazw ulic. Bez zmian pozostawiono oczywiście nazwy ulic sławiące wielkich pruskich wodzów, takich jak na przykład: Blücher-Str. (dzisiaj ul. Paderewskiego),

Lützow-Str. (dziś ul. Szopena), czy Moltke-Str. (Psie Pole). Ale nie mogła już dłużej istnieć ulica Heinricha Heinego, którego twórczość zaliczono do dzieł "szkodliwych, dekadencckich i niezgodnych z duchem niemieckim", wobec czego przemianowano ją na Dietrich Eckart-Str. Dzisiaj jest to ulica Rymanowska na Nowym Mieście.

Anton z przerażeniem obserwował zmiany zachodzące wśród otoczenia. Ludzie, których znał od lat zmieniali się nie do poznania. Drażniła go buta, zarozumialstwo i bezczelność władz ale nawet nie próbował z nikim polemizować. To nie miało sensu. Niemcy znów będą wielkie, Żydów i komunistów się wytępi, i wraz z nimi znikną przeszkody, które dotąd hamowały rozwój kraju. Tak trąbiła propaganda, gorzej, że tak uważała również znaczna część społeczeństwa. To go przerażało; nie bał się o siebie, choć miał dopiero 56 lat, czuł się już bardzo starym i bezsilnym. Bał się o Gertrudę, która za wkrótce będzie musiała wrócić do domu, mimo że wciąż jeszcze była mocno osłabiona. Nie wiedział jak da sobie radę.

Bardzo obawiał się też o swego siostrzeńca Willego, którego, niestety tryby maszyny państwowej już wciągnęły i zaczęły obrabiać. Najpierw Hitlerjugend, a potem wojsko. Do pełnienia służby w Hitlerjugend zobowiązani byli wszyscy młodociani Niemcy od dziesiątego aż do końca osiemnastego roku życia (poza niezdolnymi z przyczyn zdrowotnych czy formalnych). Opiekunowie powstrzymujący młodocianych od służby w Hitlerjugend zagrożeni byli karą grzywny bądź więzienia.

Anton chciał aby Willi dalej studiował i pracował naukowo, ale ojciec uważał, że już dość tej nauki - teraz jego syn musi budować dobro ojczyzny, albo służyć w wojsku dla chwały Tysiącletniej Rzeszy, kierowanej ku świetlanej przyszłości przez wodza narodu Adolfa Hitlera. Nie można powiedzieć - w pierwszych latach rządów nazistów były widoczne zmiany na lepsze: wyraźnie zmniejszyło się bezrobocie, kopalnie pracowały pełną parą, kwitł przemysł maszynowy, w tym także wałbrzyska Carlshutte. Wyglądało na to, że to nazistowskie państwo odniesie sukces : „Ein Volk, ein Reich, ein Führer”.

8. Znowu wojna - Od wielkich sukcesów do wielkiej klapy

Gdy 1 września 1939 roku oficjalnie podano do publicznej wiadomości informację o wybuchu wojny, na ulice Wrocławia wyległy tłumy wiwatujące na cześć "niezwyciężonej armii i jej wielkiego wodza". Po kapitulacji Warszawy we Wrocławiu świętowano przez trzy dni. W niedługim czasie potem zaczęły do Wrocławia napływać towary zdobyte w Polsce, w tym przede wszystkim bardzo potrzebna żywność. W Rzeszy wprowadzono już, bowiem, kartki na artykuły spożywcze; najpierw tylko na chleb, potem także na ziemniaki i sól, a w końcu reglamentacji poddano również cały szereg innych artykułów, nawet odzież.

W październiku ukazały się dekrety o aneksji znacznej części ziem polskich i o utworzeniu z reszty Generalnego Gubernatorstwa. Do prac polowych zaczęto sprowadzać do Niemiec pracowników przymusowych, a do najcięższych prac w kamieniołomach i kopalniach powszechnie zatrudniano więźniów obozów koncentracyjnych, głównie z Gross Rosen (Rogoźnicy).

Paul triumfował, jako jeden z pierwszych członków NSDAP, robił we wsi wielką karierę. Został wójtem i organizował szumne festyny i wiejskie dożynki. Większość dni spędzał w urzędzie przygotowując zarządzenia dotyczące obowiązkowych dostaw dla wojska. Rozdzielał pracowników przymusowych kierowanych do gospodarstw rolnych. Wywózki na roboty do

Niemiec miały już charakter planowanych akcji. W oparciu o imienne listy przygotowane na okupowanych terenach, wzywano osoby przeznaczone do wyjazdu do obowiązkowego stażennictwa w urzędach pracy. Na terenie Generalnej Guberni przez cały okres okupacji prowadzono agitację za dobrowolnym wyjazdem „na roboty”. Nie szczędzono środków finansowych na propagandę, ale akcja ta nie przyniosła pożądanych rezultatów. Wtedy wprowadzono bezwzględny przymus korzystając z łapanek i imiennych list osób kierowanych do pracy i z nakładania kontyngentów. Wiele osób wysyłanych do pracy pochodziło z akcji pacyfikacyjnych i wysiedleńczych. Sytuacja robotników przymusowych deportowanych do Trzeciej Rzeszy była bardzo ciężka. Zarządzenia niemieckie szczególnie dyskryminowały Polaków i Rosjan. Nie zawierano z nimi żadnych umów o pracę i nie chroniły ich żadne przepisy. Nie mieli prawa wyboru ani zmiany miejsca pracy. Czas pracy ustalał pracodawca. Robotnicy zatrudnieni w rolnictwie pracowali od wczesnych godzin rannych do późnego wieczora, także w niedziele i święta. Niemieccy pracodawcy nie zapewniali żadnej ochrony przed utratą życia lub zdrowia, nie chronili kobiet w ciąży. Mieli zakaz opuszczania miejsca zamieszkania bez urzędowej przepustki, nie mogli przebywać w lokalach publicznych, podróżować bez przepustki pociągami, zawierać związków małżeńskich, chodzić do kościoła. Za wszelkie przewinienia byli karani chłostą, grzywną, więzieniem i zesłaniem do obozów koncentracyjnych. Za wykonywaną pracę otrzymywali wynagrodzenie o 20-50% niższe niż Niemcy.

Paul także korzystał z ich pracy. Do swego gospodarstwa wysłał trzech polskich parobków i dwie kobiety do pomocy Annie, która zajmowała się teraz gospodarstwem. Z Paulem Anna nie miała już wspólnego języka, żyli jakby obok siebie. Jeszcze bardziej odsunęli się od siebie kiedy, ku radości dumnego ojca, Willego wcielono do wojska. Paul był dumny, chełpił się tym, pokazywał swoim współpracownikom pocztówki z Francji, gdzie na początku stacjonował jego syn. Anna, podobnie jak Anton, miała wobec Willego całkiem inne plany. Gdy do tego jeszcze w 1942 roku zmarła jej matka, Anna całkiem się wycofała, jak gdyby zapadła się w sobie. Ożywiała się tylko kiedy od czasu do czasu nadchodziły wieści od syna.

Jakieś fatum wisiało nad rodzeństwem. Anton widział co się dzieje z jego siostrą, ale bardziej przejmował się stanem zdrowia żony. Mimo jego starań Gertruda nie doszła już do zdrowia, była zbyt słaba, aby mogła wrócić do pracy, zresztą koleżanki z pracy też szybko o niej zapomniały. Nikła w oczach, szybko się męczyła, brakowało jej tchu. Miała niecałe 58 lat a wyglądała już jak staruszka.

Odeszła w spokoju; po prostu któregoś dnia już się nie obudziła. Nie walczyła o życie. Anton czuwał przy niej trzymając ją za rękę. Nie pomogły jego starania. To go potwornie przybiło, zrobił się jeszcze bardziej skryty. Gertrudę pochowano na cmentarzu komunalnym przy Hartauer Strasse. Na pogrzeb przyjechali Paul i Anna ze Starych Bogaczowic (Alt Reichenau) oraz rodzice Gertrudy z Fellhammer (z Kuźnic Świdnickich). Świat mu zbrzydł, nie mógł już patrzeć na to, co się wyprawiało dokoła. Jeszcze pracował, bo musiał, ale nie miał już przyjaciół na kolei, nikomu już nie wierzył, gorzej - często musiał się hamować i zastanawiać nad tym co i do kogo mówi. Z bliskich pozostał mu już tylko Willi, który od czasu do czasu przysyłał mu krótkie wiadomości o tym gdzie się znajduje.

Dopiero zimą 1941 roku pojawili się w większej liczbie ranni żołnierze niemieccy powracający z frontu rosyjskiego. Ich widok był szokiem dla Dolnoślązaków; alianckie naloty do nich nie docierały a propaganda wciąż trąbiła o nieustających sukcesach na wszystkich frontach. W gazetach znajdowano jednak coraz więcej nekrologów – zawiadomień o śmierci żołnierzy poległych na różnych europejskich frontach za Ojczyznę i Führera. Anna i Anton ze strachem przeglądali te nekrologi obawiając się, że znajdą tam nazwisko Willego, który już wcześniej zawiadomił ich, że wkrótce cały jego oddział także zostanie przeniesiony na front wschodni.

Od tego czasu nie mieli już od niego wiadomości. W nekrologach pojawiały się nazwiska wałbrzyszan, ale na szczęście nazwiska Willego tam nie było.

Prawdziwe, bezpośrednie zagrożenie wojenne pojawiło się na Dolnym Śląsku późno, dopiero w październiku 1944 roku, kiedy pierwsze rosyjskie samoloty ukazały się nad Wrocławiem. Kiedy lotnictwo alianckie zaczęło bombardować fabryki i niszczyć ciężki przemysł w zachodnich Niemczech, zagłębienie wałbrzyskie musiało zwiększyć wydobycie węgla i zwiększyć produkcję koksu. To wtedy ponownie uruchomiono zamkniętą kopalnię Carl-Georg-Victor w Kuźnicach Świdnickich, włączając ją w skład kopalni Glückhelf- Friedenshoffnung, a nawet zatopioną wcześniej kopalnię Gustav w Gorcach. Wałbrzyskie koksownie pracowały pełną parą - w 1944 roku wyprodukowały aż 1479 tysięcy ton koksu. Także huta Karol całą swoją produkcję przeznaczała na potrzeby wojenne.

Ojciec Gertrudy już nie pracował na kopalni, trafił do obozu koncentracyjnego. Zadenuncjował go kolega z kopalni, zatwardziały nazista. Wystarczyło, że niezgodnie z prawdą, doniósł władzom że Helmuth był aktywnym członkiem SPD i pozostał nim nawet po rozwiązaniu wszystkich partii, poza NSDAP. Tego dla matki Gertrudy było już za wiele, jej mózg zablokował się - nie dopuszczała do świadomości informacji o śmierci córki i o uwięzieniu męża. Aby pozostać w tej niewiedzy wciąż pracowała. Sąsiadki spotykały ją często na klatce schodowej, kiedy z całych sił szorowała stopnie szczotką ryżową mrucząc pod nosem: - Robić, robić, robić.

Ludność cywilna była już bardzo zmęczona. Trudności w zaopatrzeniu były nie tylko w miastach lecz nawet na wsiach. W tej dość bogatej wsi reglamentowano nawet ziemniaki. Paul, jako burmistrz działający z ramienia partii musiał się teraz również i tym zajmować.

Punktem zwrotnym w wojnie była bitwa pod Stalingradem, która miała miejsce od 23 sierpnia 1942 do 2 lutego 1943 roku. W styczniu 1945 roku rozpoczęła się zimowa ofensywa Armii Czerwonej. 17 stycznia wojska radzieckie wkroczyły do Warszawy, 19 stycznia do Krakowa i Łodzi, w lutym zdobyły Bydgoszcz, po ciężkich walkach przełamany został silnie ufortyfikowany Wał Pomorski, wkrótce zdobyty został również Kołobrzeg.

Wojna zbliżała się do Wrocławia. Miasto zostało ogłoszone twierdzą - Festung Breslau. Oprócz Wrocławia twierdzami ogłoszono także inne śląskie miasta : Głogów (Glogau), Ścinawę, Racibórz (Ratibor), Koźle (Cosel), Nysę (Neisse), Opole (Opeln), Brzeg (Brieg), Oławę (Ohlau), Bolesławiec (Bunzlau) i Legnicę (Liegnitz). Odpowiednio rozmieszczone i ufortyfikowane miasta-twierdze miały strzec dostępu do wnętrza kraju.

W miastach tych natychmiast rozpoczęła się intensywna budowa umocnień. Komendantem "Festung Breslau" został generał major Johannes Krause, urodzony w Strudze (Adelsbach) koło Szczawna Zdroju.

Od października 1944 roku zaczęły się naloty na Wrocław. W styczniu 1945 roku zaczęto wśród ludności miasta zbierać odzież zimową dla wojska. 28 stycznia 1945 roku rozstrzelano burmistrza Speilhagena, który chciał ratować Wrocław ogłaszając go „miastem otwartym”. W obliczu radzieckiej ofensywy rozpoczęła się ewakuacja ludności ze Śląska. Szacuje się, że w obawie przed nadchodzącym frontem Śląsk opuściło około 3,2 miliona ludzi. Pomagała w tym dobrze rozwinięta sieć transportu kolejowego. Z samego Wrocławia ewakuowano około 700 tysięcy osób. Anton widział na dworcu te przejeżdżające wagony załadowane po brzegi ludźmi taszczącymi ze sobą walizki, do których zapakowali tylko to co było dla nich najważniejsze. Ewakuację przeprowadzano w pośpiechu, przy silnym mrozie i pod bombami radzieckiego lotnictwa atakującego węzły kolejowe, co spowodowało wiele ofiar wśród ludności cywilnej. Podczas ewakuacji Wrocławia zginęło około 90 tysięcy ludzi.

W lutym zarządzono również pospieszną ewakuację obozów w Gross-Rosen i w Łambinowicach, w czasie której także zginęły tysiące ludzi, bądź z wyczerpania, bądź rozstrzelanych przez esesmanów eskortujących więźniów.

Władze hitlerowskie wprowadziły w mieście drakońskie zarządzenia. Ludność cywilna, wraz z chłopcami od 10 i dziewczętami od 12 roku życia, miała obowiązek pracy przy umocnieniach. Doraźne sądy karały śmiercią nie tylko za dezercję, lecz także za uchylanie się od pracy i sianie defetyzmu.

Na początku kwietnia wojska radzieckie zdobyły lotnisko na Gądowie odcinając tym samym jedyną drogę zaopatrzenia niemieckiego garnizonu. Zapasowe lotnisko zaczęto budować w centrum miasta wyburzając część zabudowy śródmieścia. Nie zdążyło ono spełnić swej funkcji; wystartował z niego tylko jeden samolot – 6 maja 1945 roku zbiegł nim z miasta gauleiter Hanke. Wrocław zamieniał się powoli w morze ruin.

Wałbrzych, leżący poza kierunkiem głównego natarcia, choć nie był miastem garnizonowym, to jednak pod koniec wojny zappełnił się licznymi oddziałami Wehrmachtu i SS, które wycofywały się ze wschodu. Przez jakiś czas w Szczawnie Zdroju stacjonował nawet sztab armii feldmarszałka Ferdinanda Schörnera.

Na cele wojskowe (koszary, lazarety) zamienione zostały budynki szkół przy alei Wyzwolenia, na Nowym Mieście i na Starym Zdroju. Na Psim Polu zaadaptowano budynek dawnej Landwehry, na Gaju stacjonowało wojsko i SS będące zapleczem tamtejszej filii KL Gross-Rosen.

Wałbrzych stał się też chwilowym schronieniem dla uciekinierów z całego Dolnego Śląska, a zwłaszcza z Wrocławia, którzy liczyli na to, że Rosjanie tu nie dotrą.

7 maja, dzień przed wkroczeniem do Wałbrzycha Armii Czerwonej przeciągają przez miasto od strony Świebodzic i Świdnicy całe kolumny żołnierzy kierujących się do Czech. Anton był świadkiem jak wraz z wojskiem uciekają działacze NSDAP, którzy opuścili gmach partii – obecną Szkołę Podstawową nr 28 przy Alei Wyzwolenia. Z rozkazu feldmarszałka Schörnera, w parku powyżej II Liceum wykonano wyroki śmierci na żołnierzach, którzy nie chcieli walczyć. Wzdłuż ważniejszych dróg w mieście przygotowano stanowiska polowe. Stanowiska karabinów przygotowane były na strychach wysokich budynków użyteczności publicznej (m.in. w budynku przy ulicy Słowackiego 20).

W Pełcznicy, za Świebodzicami, jeszcze do 5 maja młodzież z Hitlerjugend budowała okopy. Podobne stanowiska przygotowano w okolicach Zamku Książ, w Lubiechowie, Szczawienku, na Wzgórzu Giedymina, w Parku Sobieskiego oraz przy ul. Świdnickiej. Jeszcze do południa we wtorek 8 maja niemieckie oddziały przetaczały się przez Wałbrzych. Dopiero około godziny 14 zapanowała kompletna cisza.

Rosjanie nadjechali od strony Piaskowej Góry – samochody i czołgi a za nimi wkraczały do miasta piesze oddziały. Oporu praktycznie nie było; do drobnych potyczek doszło tylko na Sobięcinie. Do planowanego zniszczenia części zakładów także nie doszło. Wałbrzych został opanowany bez walki.

Paradoksem, graniczącym z cudem jest, że kiedy Wrocław zamieniono w morze ruin, na Wałbrzych nie spadła ani jedna bomba, ani jeden pocisk artyleryjski.

9. Koniec III Rzeszy i wojennej epopei

Żołnierze Armii Czerwonej, pamiętając o cierpieniach swych własnych rodzin, bardzo często traktowali zdobyte kraje po barbarzyńsku, pałac i niszcząc znienawidzone "hitlerowskie" miasta i fabryki, oraz pańskie, "giermańskie" folwarki, pałace grafów i wsie bogatych "bałców". Wiele sprzętów, maszyn i dóbr kultury wywożono na wschód. Traktowano je jako zdobycz wojenną. Ograbione majątki często podpalano. Dopiero po pewnym czasie zaczęto wprowadzać nową administrację i niezbędne prawo. Na terenach Dolnego Śląska opanowanych przez Armię Czerwoną zaczęły powstawać radzieckie komendantury wojskowe będące tam pierwszą władzą administracyjną.

Ponieważ brakowało jeszcze ostatecznych ustaleń w sprawie granic, a na miejscu nie było też odpowiedniej ilości ludności polskiej, radzieckie komendantury we wszystkich większych miastach organizowały pomocniczą administrację niemiecką. Dopiero nieco później przekazały tę władzę w polskie ręce.

Wałbrzyski garnizon wojsk radzieckich liczył wtedy 15 tysięcy żołnierzy. Jeszcze w maju 1945 roku kierownictwo kopalń objęła grupa radzieckich specjalistów, oficerów - inżynierów górnictwa. Ponieważ Polaków nie było, major Pachomow (pierwszy, rosyjski komendant miasta) początkowo administrowanie zajęтым miastem pozostawił Niemcom, z tym, że najważniejsze funkcje w zarządzie objęli oczywiście dawni członkowie KPD i SPD. Szybko powołano Komitet Antyfaszystowski, który w sierpniu 1945 roku liczył 86 członków. Działała nawet milicja niemiecka – Siecherheitsdienst.

Nową, polską administrację dla Dolnego Śląska organizowano za pomocą specjalnych grup operacyjnych, formowanych w Trzebnicy, gdzie była pierwsza siedziba pełnomocnika rządu na okręg Dolnego Śląska.

Mimo, iż nominacja Eugeniusza Szewczyka na Pełnomocnika Rządu Tymczasowego RP w Wałbrzychu wystawiona została 12 maja 1945 roku, to wyjazd grup operacyjnych z Trzebnicy opóźniał się. Władze radzieckie przez ponad dwa tygodnie nie pozwalały wpuścić polskiej administracji na tereny podsudeckie. Dlaczego?

Oficjalnie niewiele na ten temat wiadomo. Jedna z popularnych wersji mówi o roszczeniach Czechosłowacji wobec ziemi kłodzkiej. Bardzo zależało im na Kotlinie Kłodzkiej; w Nachodzie powstała nawet Rada Narodowa dla ziemi kłodzkiej (Narodni Vybor pro Uzemi Kladsko). Wątpliwym jest jednak, aby był to jedyny powód blokowania wyjazdu polskich grup operacyjnych w rejony podgórskie. Z pewnością chodziło także o wywiezienie do Związku Radzieckiego, bez jakichkolwiek formalności administracyjnych, jak największych ilości zajętego majątku ponemieckiego, traktowanego jako łupy wojenne. Grupa operacyjna na obwód wałbrzyski, wyposażona w odpowiednie zaświadczenia (wystawione w języku polskim i rosyjskim) dotarła do Wałbrzycha 24 maja 1945 roku. 27 maja rozwiązana została niemiecka milicja. Pierwsi funkcjonariusze polskiej Milicji Obywatelskiej urządzili komisariat w budynku banku przy placu Magistrackim.

28 maja 1945 roku na wałbrzyskim ratuszu zawisły polskie flagi narodowe. Major Pachomow uroczyście przekazał władzę pełnomocnikom rządu polskiego.

To przekazanie władzy w mieście Polakom było wtedy tylko formalnością, propagandowym gestem - w rzeczywistości, bowiem, przejmowanie władzy przez Polaków dopiero się rozpoczynało. Grupa operacyjna pełnomocnika rządu liczyła zaledwie 22 osoby. We wszystkich urzędach miejskich wciąż pracowali Niemcy, stopniowo, powoli zastępowani przez napływających do miasta Polaków. Cały przemysł zarządzany był przez Armię Czerwoną.

A co w tym potwornym zamieszaniu działo się z bohaterami tej opowieści.

Pod koniec kwietnia do drzwi mieszkania Antona zapukał żołnierz Wehrmachtu. Sądząc po dystynkcjach na mundurze był to obergefreiter, czyli kapral. Świadczył o tym podwójny szewron przyszyty do lewego rękawa na zielonym suknie. Był to Willi, który nie dochrapał się na wschodzie żadnego stopnia oficerskiego. Korzystając z zamieszania powstałego w czasie odwrotu niemieckich wojsk, zbiegł z koszarów w pobliskim Strzegomiu, gdzie tymczasowo zatrzymały się jego oddziały. Anton nie wiedział czy cieszyć się z jego widoku, czy martwić, wiedział bowiem czym groziła dezercja.

Uściskali się. Anton nie wypytywał o jego przeżycia a on nie chciał o nich opowiadać. Dał mu odpocząć i spokojnie się wyspać. Następnego dnia pojechali razem do jego rodziców, do Starych Bogaczowic. Tam okazało się, że Paul miał już spakowane najpotrzebniejsze rzeczy. Zamierzał jak najszybciej udać się do siedziby NSDAP w Wałbrzychu, i tam, jako zatwardziały nazista, oddać się do dyspozycji partii.

Anna oświadczyła kategorycznie, że nie ruszy się z domu nawet na krok i nie będzie nigdzie uciekać. Paul nie przejął się tym zbytnio; nie chce z nim uciekać to nie, może to i lepiej. Przypilnuje dobytku do czasu gdy Niemcy doczekają się wreszcie tej obiecanej przez wodza wunderwaffe, wrócą po swoje i przywrócą należyty porządek.

Skrzywił się, gdy Willi oświadczył mu, że nie wierzy już w żadną cudowną broń i nie zamierza wracać do swego oddziału.

Powziął już decyzję o ucieczce na południe, w kierunku Pilzna. Docierały już niepewne informacje, że do zachodnich Czech miała wkroczyć amerykańska armia generała Pattona. Nie liczył na łagodne traktowanie jeńców ze strony Rosjan. Widział na własne oczy co wyprawiali Niemcy na wschodzie i wiedział jak silna nienawiść w stosunku do Niemców panuje w szeregach Armii Czerwonej. Licząc, że Amerykanie zajmą takie miejscowości jak Cheb, Karlowe Wary i Pilzno, wołał uciekać w tamtym kierunku i ewentualnie tam oddać się do niewoli. Musiał tylko pozbyć się broni i munduru. Paul nie chciał mieć z tym nic wspólnego, nie zgadzał się z nim i nie chciał go nawet słuchać, stwierdził tylko, że nie będzie mu przeszkadzać.

Paul był przekonany, że szybko wrócą do swych domów. Na wszelki wypadek postanowił jednak ukryć całą gminną kasę i wszystkie własne pieniądze zarobione z racji sprawowanego urzędu, pozostawiając Annie tylko niewielką część, niezbędną do przeżycia. Zresztą ma przecież brata, który w razie potrzeby nie odmówi jej pomocy. Nie wiedział tylko gdzie te pieniądze schować. W urzędzie na pewno nie, w domu też mogą nastąpić przeszukania, jedynym bezpiecznym miejscem wydała mu się kościelna piwnica. Dobrze znał pastora miejscowego kościoła ewangelickiego. To dobry i uczynny człowiek, który na pewno dochowa tajemnicy. Starannie zapakował ten spory plik reichsmarek do dużej blaszanej puszkii po oliwie, owinał ją dokładnie jutowym workiem i przy najbliższej okazji przekazał zawiniątko pastorowi. Ten solennie obiecał ukryć je bezpiecznie w krypcie pod nawą kościoła.

Przed wyjazdem Paul zebrał także wszystkie rodzinne dokumenty składane od lat w dolnej szufladzie komody w sypialni, zawinął je w gazetę i wpakował do dużego blaszanego pudełka. Na spodzie pudełka umieścił kartkę z króciutkim, odręcznym zapiskiem: „kasa w świątyni”, dla przypomnienia, aby po całym tym bałaganie, po powrocie upomnieć się u pastora o zwrot depozytu. Pudełko z dokumentami ukrył pod podłogą na poddaszu, zasypując je suchą sieczką, ułożoną na ślepych pałapiach. Po ponownym przybiciu heblowanych desek nie można było dostrzec, że cokolwiek tam schowano.

Willi mógł liczyć tylko na Antona. Anton znał sytuację na kolei. Wiedział, że od początku roku 1945 wciąż rósł ruch transportów kolejowych, towarowych i osobowych, w kierunku Jeleniej Góry. Starano się uprzedzić Rosjan i wywieźć sprzęt wojskowy i wszelkie inne zapasy. W kierunku Mieroszowa (Friedlandu) i Mezimesti (Halbstadt) pociągi jeszcze kursowały, choć niezgodnie z rozkładem jazdy i były potwornie przeładowane. Ale to mogło działać tylko na jego korzyść; jeżeli będzie w cywilnym ubraniu nikt nie będzie sprawdzać jego dokumentów. Chcąc rozpoznać możliwości skorzystania z takiego transportu, pojechali do

Szczawna Zdroju i sprawdzili sytuację na tamtejszym dworcu. Upewnili się, że pociągi do Halbstadt jeszcze kursowały.

Aby nie wzbudzać żadnych podejrzeń u okolicznych sąsiadów, wraz z Antonem przygotował duży tobołek, w którym upakował komplet cywilnych ubrań. Ustalili, że wyjedzie ze wsi udając, że skończyła mu się przepustka i po prostu wraca do oddziału, a naprawdę w sprzyjającym miejscu i czasie, po drodze pozbędzie się broni i munduru, i wyjedzie z dworca w Bad Salzbrunn jako cywil.

Nadszedł czas rozstania. Z Paulem, który gotował się do wyjazdu do Wałbrzycha, pożegnał się dość sztywno, niemniej jednak coś ścisnęło go za gardło, kiedy ojciec objął go i powiedział tylko: -Powodzenia.

Anna ucałowała go serdecznie, lecz nie mogła nic powiedzieć, usiadła przy stole w kuchni i cicho płakała. Anton musiał zachować zimną krew. Wiedział już co mu dać na drogę.

Przede wszystkim dał mu swoją kartę kolejarza, upoważniającą do darmowych przejazdów na lokalnych trasach a ponadto dał mu również mały płócienny woreczek, w którym mieściły się trzy niepozorne, afrykańskie kamyki. Wyjaśnił mu dokładnie czym są, jemu już się nie przydadzą a Willemu mogą przydać się w trudnym położeniu.

Z samego rana Willi wyruszył z domu i przemaszzerował przez wieś tak aby go dobrze widziano, i dopiero gdy dotarł do Strugi (Adelsbach), upewniwszy się, że nikt go nie widzi, zszedł z drogi i skręcił w zarośla rosnące nad tamtejszą rzeczką, Czyżynką. Pamiętał to miejsce jeszcze z czasów młodości wycieczek wraz kolegami. Można się tam było dobrze ukryć. Tam rozwiązał swój tobołek, szybko zrzucił mundur i założył cywilne ubranie. Zdjął bagnet, który był mu potrzebny do wykopania płytkiego dołka, karabin wrzucił do rzeki, a mundur wraz z pasem i tym bagnetem zasypał w dołku i zdeptał butami. Teraz był już zdecydowany. Przez niewielkie wzgórze ruszył wprost na dworzec w Szczawnie Zdroju, gdzie wcisnął się do przepełnionego pociągu, jadącego do Halbstadt.

Trochę strachu najadł się w Mieroszowie (Friedlandzie) gdzie dokonywano pobieżnej kontroli pasażerów. Szukano uciekinierów z obozu pracy; w 1944 roku w Mieroszowie powstała duża filia obozu Gross-Rosen. Udało mu się pozostać niezauważonymi bezpiecznie dotarł do końca trasy pociągu. W Halbstadt miał znajomego z wojska, jeszcze z Francji, który wrócił do domu ze względów zdrowotnych. Udał się do niego z prośbą o znalezienie przewodnika, który pomógłby mu przedostać się do Pilzna albo jeszcze lepiej do Karlsbadu albo Chebu.

Oczywiście to nie było łatwym zadaniem, choć w okolicy mieszkało wielu zniemczonych Czechów. Przecież od 1938 roku ta część tzw. Kraju Sudetów, została zbrojnie zajęta przez Niemcy i przyłączona do III Rzeszy. Teraz miejscowi Niemcy obawiali się zemsty Czechów. I nie bezpodstawnie. Kiedy 9 maja 1945 roku ziemia broumowska (Broumov, Braunau) została zajęta przez Armię Czerwoną doszło do odwetów na ludności niemieckiej. Podobnie jak w Polsce, w 1946 roku miało miejsce przymusowe wysiedlenie 22 000 Niemców i przekazanie ich majątków nowo przybyłym osadnikom czeskim.

Tak ryzykowne zadanie, jak podróż w poprzek przez Czechy, musiało kosztować. Na ten cel zostały przeznaczone dwa diamenty, które Willi otrzymał od Antona. Dwaj przewodnicy, którzy po długich namowach podjęli się przetransportowania Willego nie chcieli już niemieckich pieniędzy, chcieli czegoś pewniejszego. Nie mógł się targować. Został mu już tylko jeden kamień, który staranie zawinięty miał zawsze przy sobie.

O wszystkich perypetiach związanych z tą podróżą napisze później w krótkich listach wysyłanych do matki i do Antona. Udało mu się w końcu przedostać na tereny kontrolowane przez armię amerykańską a później do Amerykańskiej strefy okupacyjnej w Niemczech. Choć i tam nie obeszło się bez strachu. Do jednostki amerykańskiej, w której był przesłuchiwany, dotarła grupa kobiet przebywająca w Bawarii na robotach przymusowych. Była wśród nich Polka, która przez pewien czas pracowała w Starych Bogaczowicach i rozpoznała w nim syna nazistowskiego wójta gminy.

Odsiedział pewien czas w obozie przejściowym a następnie trafił do Norymbergii, gdzie już pozostał. W czasie alianckich nalotów bombowych historyczne centrum Norymbergi zniszczone zostało w 90 procentach.

Dzięki sprzedaży ostatniego kamienia otrzymanego od Antona ominęła go większość powojennych kłopotów Niemców. Mógł kupić mieszkanie, co już było wielkim sukcesem, podjąć pracę i żyć w miarę spokojnie i dostatnio.

Historia zatoczyła wielki krąg. W miejscowości, gdzie narodził się ruch narodowo-socjalistyczny i przez szereg lat odbywały się zjazdy faszystowskiej partii, 20 listopada 1945 roku przed Międzynarodowym Trybunałem Wojskowym w Norymberdze rozpoczął się proces niemieckich zbrodniarzy wojennych. W procesie sędzono 22 osoby - 12 skazano na śmierć, trzy - na dożywocie, cztery - na długoletnie więzienie, a trzy - uniewinniono.

W skład trybunału weszli przedstawiciele czterech zwycięskich mocarstw: Wielkiej Brytanii, USA, ZSRR i Francji.

Na miejsce procesu celowo wybrano Norymbergę, po to aby tam ostatecznie zniszczyć ducha III Rzeszy. To przecież w Norymberdze, w 1933 roku, świętowano dojście Hitlera do władzy, tam też uchwalono tzw. ustawy norymberskie (pozbawiające Żydów obywatelstwa Rzeszy, ochrony prawnej i własności). Proces odbył się w Pałacu Sprawiedliwości, który przerwał wojnę w stosunkowo dobrym stanie.

Wróćmy do Wałbrzycha. Po zajęciu miasta przez Armię Czerwoną zaczęły tam napływać wielkie masy ludzi : przybysze, uciekinierzy, niedawni więźniowie i przymusowi robotnicy. Tramwaje i miejskie trolejbusy były zatłoczone. Na stacjach kolejowych na Starym Zdroju i na Podgórzu (Dittersbach) zbierały się grupy ludzi mówiących różnymi językami, chcących wyjechać stąd i wrócić do własnych krajów. Nie było to takie łatwe. Na kolei, podobnie jak i we wszystkich kopalniach i przedsiębiorstwach wciąż pracowali Niemcy. Ruch na stacjach zapewniali niemieccy kolejarze, wśród nich także Anton, który jak co dzień stawiał się do pracy w biurze i warsztatach dworca, gdzie całym ruchem zarządzali Rosjanie wykorzystując dolnośląską sieć kolejową przede wszystkim do wywozu na wschód wszelkich zdobytych i zarekwirowanych towarów, urządzeń technicznych a nawet całych zakładów. Pociągami transportowano także jeńców.

Antonowi pozwolono pozostać w zajmowanym przez niego mieszkaniu ale przeniesiono go do pracy na teren dworca na Podgórzu, gdzie był dużo większy ruch towarowy i osobowy. Był też znacznie większy obszar rozgałęzionych torowisk i bocznic kolejowych. Na tej stacji funkcjonowała duża lokomotywnia, z wielką obrotnicą, mająca bardzo ważne znaczenie dla utrzymania prawidłowego ruchu, szczególnie od czasu gdy zdemontowano, rozebrano i wywieziono całą kolejową trakcję elektryczną.

Anton pracował jak poprzednio, głównie przy robotach przywracających możliwość manewrów przetokowych na bocznicach. Stały tam jeszcze składy wagonów towarowych wypełnione sprzętem wojskowym i innymi różnymi materiałami.

Dopiero 20 lipca wyjechał do Wrocławia pierwszy transport węgla z wałbrzyskich kopalń. Władze radzieckie przekazały koleje żelazne polskiej administracji dopiero w połowie sierpnia i dopiero 15 września odjechał ze stacji Wrocław Świebodzki pierwszy pociąg osobowy w kierunku Marciszowa.

Na całym Dolnym Śląsku od razu rozpoczęła się wielka akcja wysiedlania ludności niemieckiej i przygotowywanie warunków do jak najszybszego napływu w ich miejsce polskich osadników. Pojawili się oczywiście także liczni, polscy szabrownicy, rozkradający to, czego nie zabezpieczyła, lub nie wywiozła Armia Czerwona.

Sytuacja była trudna. Mimo że ponad 3 miliony Niemców opuściło Śląsk już podczas ewakuacji w czasie ostatnich działań wojennych (od stycznia do marca 1945 roku), to jednak zaraz po ustaniu walk sporo ludzi zaczęło wracać z Czech i zza Nysy Łużyckiej. Z tego powodu

wojsko polskie uszczelniło linię Odry i Nysy Łużyckiej i przystąpiło do wysiedlania ludności niemieckiej. Jeszcze przed podpisaniem układu w Poczdamie z nadgranicznych powiatów Wojsko Polskie wysiedliło około pół miliona Niemców.

Pierwszy po wojnie powszechny spis ludności Polski, przeprowadzony 14 lutego 1946 roku, wykazał, że na Śląsku przebywało wówczas jeszcze 1 234 000 Niemców. Ogółem w okresie od 1945 do końca 1950 roku wysiedlono do Niemiec około 3,5 miliona osób.

Podstawę prawną dla przeprowadzenia wysiedleń stanowiło Porozumienie Poczdamskie, które przyzywało na wysiedlenie Niemców z utraconych terenów w sposób „humanitarny”. O tym jak to wyglądało w praktyce świadczy treść oryginalnego ogłoszenia z tamtych czasów.

„Rozkaz specjalny dla ludności niemieckiej miasta Bad Salzbrunn razem z dzielnicą Sandberg. Na podstawie rozkazu Rządu Polskiego rozkazuję:

1. 14 lipca 1945 od godz. 6 do 9 dokona się przesiedlenia ludności niemieckiej.
2. Ludność niemiecka zostanie przesiedlona na tereny na zachód od rzeki Nysy.
3. Każdemu Niemcowi wolno zabrać z sobą najwyżej 20 kg bagażu na drogę.
4. Środki transportowe (wóz, wół, koń, krowa itd.) nie są dozwolone.
5. Cały żywy i martwy inwentarz w nieuszkodzonym stanie zostaje własnością Rządu Polskiego.
6. Ostatni termin przesiedlenia dobiega końca 14 lipca o godz. 10.
7. Niedostosowanie się do tego rozkazu będzie karane najostrzejszymi karami, włącznie z zastosowaniem broni.
8. Także poprzez użycie broni będzie zapobiegane sabotażom czy plądrowaniu
9. Placem zbiórki jest dworzec Bad Salzbrunn ul. Adelsbacher Weg, marsz w kolumnie po 4 osoby w szeregu. Początek tek kolumny marszowej 20m przed miejscowością Adelsbach
10. Niemcom, którzy posiadają zaświadczenia o nie ewakuacji ich rodzinom nie wolno opuszczać ich miejsca zamieszkania w czasie od godz. 5 do 14
11. Wszystkie mieszkania w mieście muszą być otwarte, klucze do mieszkań i do domów muszą zostać włożone do zamków na zewnątrz.

Bad Salzbrunn, 14 lipca 1945, godz. 6

Komendant Odcinka”.

Dopiero nieco później, począwszy od 20 lutego 1946 roku, wysiedlanie miało już charakter bardziej zorganizowany i prowadzone było pod międzynarodowym nadzorem. Ostatecznie plan wysiedlenia ludności niemieckiej z Polski, Czechosłowacji i Węgier do czterech stref okupacyjnych Aliancka Rada Kontroli uzgodniła w dniu 20 listopada 1945 roku.

Akcją wysiedleńczą kierowało specjalnie w tym celu powołane Ministerstwo Ziem Odzyskanych. Tworzono też obozy przejściowe dla ludności niemieckiej przeznaczonej do wysiedlenia. Największy taki obóz mieścił się w Łambinowicach. Od lipca 1945 roku do października 1946 roku przebywało w nim rotacyjnie po kilkanaście tysięcy osób. Ludność niemiecką kierowano do radzieckiej i brytyjskiej strefy okupacyjnej. Ta główna fala wysiedleń trwała do listopada 1947 roku a cała akcja zakończyła się w roku 1949.

Z terenu całego Śląska wysiedlono około 1 miliona 700 tysięcy ludzi. Niewielka grupa ludności niemieckiej pozostała jednak na Śląsku. Szczególnie wielu Niemców pozostało w Wałbrzychu. Aby zapewnić nieprzerwaną pracę wszystkich kopalń, koksowni, hut, gazowni i elektrowni, konieczne było utrzymanie ciągłości zatrudnienia niemieckich specjalistów i wykwalifikowanych pracowników. W styczniu 1946 roku w miastach powiatu wałbrzyskiego mieszkało zaledwie 24 tysiące 928 Polaków, podczas gdy wciąż żyło tu jeszcze 117 tysięcy 155 Niemców.

Antonowi, jako doświadczonemu kolejarzowi przydzielono nawet dwóch młodszych Polaków, którym miał przekazać najważniejsze wiadomości dotyczące zasad obsługi wewnętrznego ruchu w obrębie stacji. Szybko nauczył się podstawowych zwrotów w języku polskim. Trzymał się na uboczu, robił swoje, a że znał się doskonale na swej pracy, choć był sztywnym i surowym, nawet u swych współpracowników wzbudzał swego rodzaju szacunek. Miał już 64 lata, odwiedzał żonę na cmentarzu komunalnym położonym pomiędzy Starym Zdrojem a Białym Kamieniem, gdzie zaczęły już pojawiać się nowe, polskie groby, i z niecierpliwością

czekał na zwolnienie z pracy i zasłużoną emeryturę. Od czasu do czasu odwiedzał siostrę w Starych Bogaczowicach.

Anna straciła gospodarstwo; zabrano jej całą ziemię pozostawiając tylko stary dom i niewielki ogród. W czasie tych spotkań niewiele ze sobą rozmawiali, nie musieli bo i bez tego doskonale się rozumieli, ale cieszyły ich chwile spędzone razem. Mogli wspominać dawne lata. Często zastanawiali się, co też stało się z Willim, czy przeżył, gdzie się podziewa, czy doczekają się, że da jakiś znak życia. O Paulu rzadko wspominali, zbytnio za nim nie tęsknili, zresztą wszelki ślad po nim zaginął.

10. Zakończenie

Na miejsce wysiedlanej ludności niemieckiej przybywali nowi osadnicy z terenów Polski centralnej oraz zza Buga, ze Lwowa, z Ukrainy, Białorusi i Litwy, wysiedleni stamtąd przez Rosjan, którzy za zgodą zachodnich aliantów wytyczyli i ustalili nowe, korzystne przede wszystkim dla siebie, powojenne granice w Europie Środkowej. Na Dolny Śląsk, zgodnie z koncepcją równoleżnikowego przemieszczania ludności repatriowanej z ZSRR, kierowano przeważnie Polaków z Ukrainy. Nieco później do Wałbrzycha i okolic przybyli również repatrianci z Francji i Belgii a nawet z Grecji i Jugosławii. To oni stworzyli nowe pokolenie Polaków urodzonych już w polskim Wałbrzychu, Szczawnie Zdroju, Szczawienku, Strudze i Starych Bogaczowicach. Tworzył się zupełnie nowy, powojenny świat, w którym nie było już miejsca dla takich ludzi jak Anton i Anna. Ich epopeja dobiegła końca.

Ze starych dokumentów odczytaliśmy i odkryliśmy z Maćkiem tylko część tych wszystkich burzliwych wydarzeń. Reszty dokonała nasza wyobraźnia i znajomość historii. Czy bardzo się myliliśmy opisując burzliwe losy rodzeństwa Kadenbachów, ludzi którym przyszło żyć w tak niespokojnych i strasznych czasach ?

Maciek przypomniał sobie, że w czasie pogawędek z babcią Anielą była czasami mowa o poprzednich mieszkańcach tego domu. Babcia Anieli wspominała, że kiedy w 1951 roku wraz z mężem Bronisławem otrzymali przydział na ten dom, niewiele powiedziano im o wcześniejszych właścicielach. Dowiedzieli się tylko tyle, że wcześniej należał do jakiejś Niemki, która zmarła w nim samotnie rok wcześniej.

Można się tylko domyślać, że i Anton nie nacieszył się zbyt długo emeryturą. To przecież nie był już jego świat. Nie wiadomo dokładnie kiedy zmarł i gdzie został pochowany. Można tylko podejrzewać, że pochowano go obok żony na cmentarzu przy obecnej ulicy Żeromskiego. Możliwe, że przed śmiercią dotarł do niego list od siostrzeńca z Norymbergii, w którym Willi opowiedział wujowi o swych przygodach podczas ucieczki przez Czechy. Jeśli tak było, to bardzo dobrze. Anton mógł mieć w końcu przynajmniej tę satysfakcję, że uratował swego kochanego siostrzeńca przed radzieckim obozem jenieckim, a może i przed czymś gorszym. Na pewno też ucieszyłaby go wiadomość, że te przeklęte diamenty, które przez tyle lat przechowywał z myślą o ich wykorzystaniu w ostatecznej potrzebie, wreszcie na coś się przydały - że to dzięki nim Willi uratował życie i nie dość że wyszedł cało z opresji to jeszcze stanął na nogi w tych ciężkich czasach.

Do wyjaśnienia pozostała jeszcze sprawa mojej wieczornej wyprawy do kościelnej krypty w starym, opuszczonym i rozsypującym się już kościele ewangelickim w Starych Bogaczowicach. Wśród znalezionych, rodzinnych dokumentów Kadenbachów i Paula, po starannym

przeglądnięciu wszystkich listów, zeszytów, kartek pocztowych i rachunków, na końcu natknęliśmy się na krótką, intrygującą notatkę, którą umieścił tam Paul, szykując się do ucieczki w końcu kwietnia 1945 roku. Była to zwykła kartka wydarta z zeszytu, zawierająca króciutki, odręczny zapisek: „kasa w świątyni”.

Zaczął się dedukowanie - co to mogło znaczyć? Wiadomo było, że Paul był w czasach III Rzeszy ważną figurą we wsi. Może to były jakieś wartościowe przedmioty, może srebra lub złoto? I co to za świątynia? Paul nie był zbyt pobożny i drażniła go dewocja teściowej, zapiekłej katoliczki. Po zastanowieniu wykluczaliśmy największy, parafialny kościół św. Józefa Oblubieńca, gdyż jako najcenniejszy, barokowy obiekt w regionie kościół był dokładnie przebadany i „prześwietlony” przez służby konserwatorskie, a o żadnym znalezisku we wsi nie słyszano. Z tego samego powodu odrzuciliśmy też kaplicę świętej Anny, choć położona była najbliżej domu. Gdzie więc można było umieścić taki schowek. Doszliśmy do wniosku, że mógłby to być opuszczony od 1945 roku miejscowy kościół ewangelicki, którego salowe wnętrza z drewnianymi emporami, nakryte mansardowym dachem z sygnaturką, służyło po wojnie jako magazyn. Maciek wiedział, że kościół był już opuszczony i stopniowo popadał w ruinę. Pomimo tablicy zakazującej wejścia, odsunęliśmy z trudem skrzydło drzwi i zajrzeliśmy do jego wnętrza. Na posadzce zalegała warstwa ziemi i gnijących liści nawianych do wnętrza przez puste otwory okienne. Pomimo zaśmiecenia, tuż obok drzwi wejściowych, dały się w posadzce zauważyć ślady wjazdu jakiejś piwniczki czy krypty. Chciałem natychmiast sprawdzić, czy da się odsunąć kamienną pokrywę, ale Maciek radził, aby dać sobie spokój i nie grzebać w przeszłości. Ale ja się uparłem, chciałem pobawić się w poszukiwacza skarbów i wyjaśnić tę sprawę do końca. Dlatego wybrałem się tam powtórnie, pod wieczór. Ten mój upór doprowadził do tego, że po odsunięciu wjazdu spadłem na posadzkę kościelnej piwniczki.

A więc udało się; stara notatka mówiła prawdę. Drżącymi rękoma wyciągnąłem ze skrzyni duże metalowe, straszliwie przerdzewiałe pudełko, owinięte w jakąś zbutwiałą tkaninę. Wstrzymując oddech próbowałem je otworzyć. Nie było to trudne, blacha w wielu miejscach była już kompletnie przerdzewiała, rozlatywała się, musiałem uważać aby się nie skaleczyć. Spodziewałem się jakichś skarbów: złota, srebra lub innych cennych rzeczy. Niczego takiego tam nie było. Był tylko gruby rulon zwiniętych, starych pieniędzy używanych w czasach III Rzeszy. Przeglądanie zostawiłem na później i najpierw pomyślałem o tym, jak wydostać się z tej piwnicy czy krypty. Okazało się, że nie było to zbyt trudne, to tylko ciemność i strach potęgowały wcześniejsze obawy. Po starej połamanej drabinie, która jeszcze się przydała, wyostałem się na wierzch zabierając ze sobą znalezisko.

W domu przejrzałem zawartość pudełka. Były to zwinięte w rulon setki a może nawet tysiące reichsmarek, teraz całkowicie spleśniałych, porażonych przez grzyby i rozsypujących się w rękach. Żeby tam były chociaż jakieś monety, na przykład srebrne dwu- lub pięciomarkowe monety, ale nie, to były same banknoty o nominałach 10, 20 i 50 reichsmarek. Może udałoby się z tego rulonu wydobyć jakieś całe banknoty i może nawet udałoby się je sprzedać kolekcjonerom, ale nie miałem najmniejszej ochoty grzebać w tej zagrzybionej, śmierdzącej bryle. Wyrzuciłem wszystko na śmietnik. Kilka dni później, ze zdziwieniem zauważyłem, że kilkoma, tymi uszkodzonymi banknotami dzieci bawiły się na podwórku w sklep. Część z nich musiała wypaść przy opróżnianiu kubłów i wywożeniu śmieci.

Maciek mógł teraz kpić sobie ze mnie do woli.

Niespodziewanie okazało się, że to jeszcze nie koniec tej historii. Przed dwoma laty na wąskiej uliczce, przed domem Maćka zatrzymał się samochód z niemiecką tablicą rejestracyjną i wysiadło z niego trzech mężczyzn. Zadzwonili do domu i jeden z nich, będący jak się okazało tłumaczem, trochę kalecząc polszczyznę spytał czy mogą na chwilę wejść do środka. Wskazując na starszego, bardzo dostojnego i eleganckiego pana, powiedział, że ten pan urodził się

w tym domu i obecnie, będąc już na emeryturze, chciał pokazać synowi miejsce gdzie przyszedł na świat. Maciek, jak wielu naszych budowlańców, miał w swojej karierze także etap pracy w Niemczech i na tyle dobrze znał niemiecki, że mogli obejść się bez tłumacza. Zaprosił gości do domu, poczęstował kawą i nalewką, po czym poprosił o więcej informacji. Po dłuższej chwili starszy pan rozgadywał się. Okazało się, że gościem Maćka był nie kto inny, tylko Willi, siostrzeniec Antona Kadenbacha. Miał już 70 lat; towarzyszył mu syn, któremu na chrzcie nadał takie imię, jakie nosił człowiek, dzięki któremu zachował życie i mógł bezpiecznie i szczęśliwie urządzić się po wojnie. Człowiekiem tym był oczywiście nasz bohater Anton Kadenbach.

Teraz do Polski przywiózł go właśnie jego syn, młody Anton, który miał jakieś zawodowe interesy we Wrocławiu. Dzięki temu Willi mógł odwiedzić rodzinny dom. Jednak ten dom w niczym nie przypomina mu już domostwa z czasów jego dzieciństwa i młodości.

Nic dziwnego; Maciek przebudował go zgodnie z obecnymi wymogami i tylko zarys bryły przypominał pierwotną budowlę. I jeszcze stara studnia, która pozostała na ogrodzie, mimo rozplantowania terenu.

Willi miał kilka wolnych dni i zatrzymał się w hotelu Maria w Wałbrzychu, na Szczawienku. Chciał ten czas wykorzystać na odwiedzenie miejsc, które pamiętał ze swej młodości. Po cichu liczył, że być może uda mu się odnaleźć grób matki i swego wuja. Po ojcu wszelki ślad zaginął. Jacek zaproponował mu pomoc w tych poszukiwaniach, a żeby nie tracić czasu na dojazdy zaproponował starszemu panu także nocleg w swym domu.

Wielką niespodzianką, która wzruszyła Willego do łez, było przekazanie mu wszystkich rodzinnych dokumentów znalezionych w czasie remontu, w stropie poddasza.

Wcześniej Maciek zamierzał przekazać te dokumenty do wałbrzyskiego muzeum mieszczącego się w klasycystycznym pałacu miejscowego przemysłowca Albertiego.

Teraz mógł oddać je prawowitemu właścicielowi, potomkowi Kadenbachów ze Starych Bogaczowic. Willi wycierał załzawione oczy patrząc na pięknie ilustrowany akt chrztu z 1862 roku, akt ślubu rodziców z 1883 roku, korespondencję wuja Antona z rodzicami, swoje listy pisane do matki oraz szereg innych, rodzinnych dokumentów pochodzących sprzed I wojny światowej, okresu międzywojennego i z czasów ostatniej II wojny światowej.

Dzięki tym dokumentom również i my poznaliśmy losy dawnych mieszkańców starego domu Maćka.